EPOKA

ROK V. Warszawa, 15 kwietnia 1938 r. Nr 11 (114)

Treść numeru:

SIEWCY WILCZYCH NASION
J. Węgliński

ZACHÓD MÓWI

Z DNIA NA DZIEŃ:

„Na Kowno!"... z łomami. — Artykulik-niedonosek. — „Drobna arcyważna sprawa".-Gościnna mogiła.— Pociąga wiosną od pól i lasów. — Odpowiedź „wycieraczom kawiarni i bruków".— Chińskie cienie.— Laury rycerskie. — Wymowa liczb. — Postawa młodej demokracji.

SZKALOWANIE ŚREDNIOWIECZA
W. Rogowicz

NIEMCY I WŁOCHY — OGNISKA ZAPALNE. GŁOS BRYTYJSKI

DZIECIŃSTWO W PAMIĘCI JAKUBA
Zofia Nałkowska

NA TROPACH BENIOWSKIEGO (MADAGASKAR)
J. Raduski

W TEATRZE
Irena Krzywicka

40-LECIE PRACY NAUKOWEJ PROF. ST. KALINOWSKIEGO

Siewcy wilczych nasion

Pokorne zachowanie się episkopatu austriackiego z kardynałem Innitzerem na czele zwróciło znowu powszechną uwagę na zagadnienie t. zw. katolicyzmu politycznego. Termin ten ukuty został nie przez wolnomyślną i antyklerykalną, „masońską" demokrację, lecz przez śmiertelnego jej wroga — hitleryzm. W oczach Rosenbergów i Goebbelsów duchowieństwo niemieckie, które w swej pracy kapłańskiej i społecznej przeciwstawia się uciskowi religijnemu ludności katolickiej — dopuszcza się strasznego grzechu, któremu na imię: katolicyzm polityczny. Kto ze stanowiska katolickiego potępia faszystowski absolutyzm państwowy — uprawia katolicyzm polityczny. Kto w imię uniwersalistycznej nauki chrześcijańskiej piętnuje rasistowskie teorie hitleryzmu jako sprzeczne z chrześcijańskim stosunkiem do człowieka — wkracza na zdrożne tory katolicyzmu politycznego. A już w najgłębsze przepaście grzechu popadnie katolik — jeżeli właśnie ze stanowiska katolickiego wypowie się za demokracją jako tą formą współżycia ludzkiego, która wszystkim obywatelom, a więc i katolikom zapewnia całkowitą wolność sumienia. Słowem: katolicyzm, który nie poddaje się faszystowskiej despotii — to katolicyzm polityczny. Natomiast wprzęganie kościoła i katolicyzmu w służbę reakcyjnych poczynań nie jest — zdaniem faszystów — nadużywaniem religii dla ziemskich celów politycznych; przeciwnie: jest obowiązkiem chrześcijańskim.

Taki pogląd na doczesne powołanie kościoła od dawna już nie jest monopolem faszyzmu niemieckiego. Staje się on coraz bardziej własnością całej międzynarodówki reakcyjnej, bo i poza Niemcami ujawnia się coraz wyraźniejsze przeciwieństwo między tym, co głosi katolicyzm, a tym do czego zmierza faszystowska tyrania z jego zasadą bezwzględnej omnipotencji totalistycznego państwa.

W odczycie wygłoszonym przez radio papieskie stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że popieranie faszyzmu przez osobistości, stojące na czele hierarchii kościelnej i odpowiedzialne za ideowe oblicze katolicyzmu, nie da się pogodzić z chrześcijaństwem i jest wyraźnie sprzeczne z tym, co niejednokrotnie powiedział Watykan. Posłuchajmy jednak dalszych wywodów, bo jakkolwiek dla nas, demokratów, nie wnoszą one ostatecznie nic nowego, zawierają jednak druzgocącą ocenę postępowania tych przedstawicieli duchowieństwa, którzy autorytetem swym popierają poczynania faszyzmu:

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem Cena egzemplarza gr 50

„...tacy opiekunowie i strażnicy interesów kościelnych stają się winnymi **rozszerzenia ich obowiązków z dziedziny moralno - religijnej na sprawy wyłącznie polityczne: np. nadużywają oni swej władzy doktrynalnej** w dziedzinie moralnej i religijnej, przekonywając wiernych o prawdziwości pewnych twierdzeń, dotyczących spraw czysto praktycznych życia społecznego i politycznego, nawet wtedy, gdy fakty, będące podstawą tych twierdzeń, są oceniane odmiennie przez wielu rozsądnych ludzi. **Żaden wierny nie jest obowiązany w swym sumieniu popierać takie twierdzenia i sądy i uważać je za wskazówkę postępowania politycznego".**

To samo głosi od dawna obóz demokratyczny. Zawsze, ilekroć klerykalizm wprzęgał religię w służbę interesów reakcyjnych, wrogich postępowi i rzeszom ludowym, demokracja piętnowała takie postępowanie duchowieństwa jako nadużywanie władzy duszpasterskiej, protestowała przeciw używaniu ambony dla celów czysto politycznych i nic wspólnego z religią nie mających. Dziś, w obliczu niepowetowanych szkód, które sfaszyzowany odłam klerykalizmu wyrządził człowieczeństwu a także w obliczu dławienia wolności religijnej katolików niemieckich — podniósł się z kurii rzymskiej ten sam głos przeciw nadużywaniu ambony dla politycznych celów reakcji! W ostrych słowach osądzono ów „fałszywy katolicyzm polityczny", którego przedstawiciele w różnych krajach, szczególnie w Polsce, usiłują, niestety nie bez powodzenia, torować drogę dla moralnych i społecznych podbojów faszyzmu. Od lat jesteśmy w Polsce świadkami sojuszu pewnej części duchowieństwa z żywiołami najbardziej napastniczej reakcji. Co gorsza, nasza hierarchia kościelna, która tak często zabiera głos w różnych sprawach życia doczesnego i przybiera określoną postawę wobec bieżących zagadnień politycznych, nie odgrodziła się nigdy i nigdzie od złowrogiej nawały nienawiści, szerzonej przez sfaszyzowaną część duchowieństwa, i sprzecznej z zasadami chrystianizmu. Tymczasem dzieją się u nas w imię chrześcijaństwa rzeczy, od jakich katolicy — świeccy i duchowni — we Francji, Belgii, Szwajcarii odwracają się z odrazą. Rzeczy, które Rzym potępił jako chorobliwy produkt prostackiego ducha nienawiści. Czy jest do pomyślenia wśród duchowieństwa belgijskiego lub francuskiego kapłan w rodzaju ks. Trzeciaka, który rozsiewa wilcze nasiona?

Nie czujemy się powołani ani uprawnieni do udzielania nauk komukolwiek. Nie naszą ostatecznie rzeczą jest wykazywanie sprzeczności między tym, co głosi Watykan, a tym, co robi reakcyjny, sfaszyzowany klerykalizm polski. Bo w ogóle w stosunku do klerykalizmu złudzeń nie mamy i nie chcielibyśmy ich szczepić. Przeciwnie, uważamy klerykalizm za jedną z najstarszych i najkonsekwentniejszych form totalizmu, sprzecznej z zasadami wolności i równości wszystkich obywateli bez względu na ich wyznanie. Klerykalizm, jako reakcyjny, antydemokratyczny kierunek polityczny, nie ma nic wspólnego z religijnością, którą demokracja waruje jako rzecz sumienia i przekonania. Ale demokracja gwarantuje to samo wszystkim wyznaniom — klerykalizm tylko jednemu. Oto różnica. Różnica, która całe społeczeństwo — nie wyłączając katolików — dzieli na dwa obozy, reakcyjny i demokratyczny, i jak wszystkie odłamy dawniejszej, przedwojennej reakcji, tak i sfery klerykalne sympatyzują raczej z faszyzmem i bezpośrednio nawet faszyzują się politycznie ideowo. Ich konflikty z innymi totalizmami rozgrywają się wtedy nie w obronie wolności, lecz w obronie własnego przywileju. Ale też łatwo następuje kapitulacja, jak widzimy na przykładzie Austrii.

Odbierając katolikom, jak innym obywatelom, wszelkie swobody obywatelskie — faszyzm pozbawia ich w końcu także wolności religijnej. Od tej chwili katolicyzm, na równi z liberalizmem, socjalizmem, masonerią i inną „żydo-komuną", zostaje zaliczony do kierunków „antypaństwowych" czy też „antynarodowych" i ostemplowany sympatycznym terminem „katolicyzmu politycznego". Obóz koncentracyjny, samobójstwo lub wygnanie — taki los czeka również katolików, którzy zaufali fałszywemu katolicyzmowi politycznemu, potępionemu przez kurię rzymską, ale zalecanemu przez naszych braciszków z Niepokalanowa i innych hitlerowców w sutannach (ks. ks. Pawski, Bocheński), czy świeckich z „Prosto z Mostu".

Jest w Polsce miejsce i dla obozu demokracji katolickiej, demokracji nie w cudzysłowie, ale prawdziwej demokracji politycznej i kulturalnej, takiej jaką reprezentują katolicy w Belgii i we Francji. Sądzimy, że — jak bardzo już dawno na Zachodzie — tak dziś w Polsce katolicyzm wcale nie jest i nie musi być symbolem obskurantyzmu i wstecznictwa, jak tego pragną fałszywi jego wyznawcy i obłudni przyjaciele (do czasu). Pamiętajmy, że 90 lat temu żył i działał jeden z najszlachetniejszych przedstawicieli demokracji, Franciszek Lammenais, głęboko wierzący katolik.

Czasy się zmieniły — linie podziału zostały. Wrogowie demokracji w dalszym ciągu nadużywają katolicyzmu dla swych reakcyjnych i zarazem antychrześcijańskich celów. Demokracja nie zapomniała wprawdzie o spaleniu Giordana Bruna albo Husa przed laty pięciuset, ale często radzi pamiętać i o tym, że dziś kto inny wznosi stosy inkwizycyjne! Dla demokracji totalista, wychwalający obozy koncentracyjne, i wszystkie urządzenia tyranii — jest człowiekiem obozu przeciwnego, choć by nawet darł koty z bliską sobie moralnie i politycznie klerykalną reakcją. I z drugiej strony ksiądz katolicki, jeżeli występuje mężnie imieniem człowieczeństwa przeciw bezprawiu i w obronie wolności obywatelskiej, będzie każdemu demokracie stokroć bliższy, niż „antyklerykalny" chwalca totalizmu.

Demokracja polska zdaje sobie doskonale sprawę z różnicy między klerykalną reakcją a katolicką demokracją. Dlatego przeciwstawia się heroldom fałszywego chrystianizmu, którzy usiłują poszczuć ludność katolicką przeciw demokracji, by na grzbietach **całego** ludu wznieść system ucisku społecznego, politycznego i religijnego.

Księgi, wiersze, dzienniki, płatni uwielbiacze,

Pełno dzieł heroicznych, a jednak lud płacze.

IGNACY KRASICKI.

Zachód mówi

W Nr. Nr. 9 i 10 „Epoki" zapoczątkowaliśmy pod powyższym tytułem przegląd prasy zagranicznej. Dziś dajemy obraz Dwóch Światów, walczących o duszę rasy białej na dwóch kontynentach. Wyjątki z mów dygnitarzy niemieckich i mężów stanu Ameryki Północnej stanowią niejako teoretyczne określenia rzeczywistości dzisiejszej. Wyobrażenie o praktyce, stosowanej przez jedną stronę — daje korespondencja „Times"-ów z Barcelony. Wyjątki z pism angielskich dają pojęcie o istocie walki, jaka się toczy w imię wytycznych polityki zagranicznej krajów demokratycznych.

EPOKA.

BERLIN

„Póki protesty pisane są przez słabych, pozostają one papierowymi protestami i ulegają losowi wszystkich papierów. Trzeba, aby pióra, które piszą wspierały bagnety, a wtedy słowo pisane nabiera innej wartości"

premier Goering w Berlinie.

„W środku Europy znajduje się blok 135 milionów ludzi, zgrupowanych dokoła osi Berlin — Rzym. Jeśli Niemcy nie są kochane przez świat, to zato są respektowane"

min. Goebbels w Berlinie.

„Żadne krzyki nie przeszkodzą nam w stwarzaniu faktów dokonanych, potrzebnych dla pokoju europejskiego"

min. Goebbels w Berlinie.

„Krytykuje się nasze metody. Ale cóż to jest przemoc? Tylko powodzenie liczy się, a drogę, którą przebyliśmy, można ocenić, jeśli się przypomni, że w dwadzieścia lat po najstraszliwszej klęsce, nasz naród święci triumf taki, jak ten, który właśnie przeżyliśmy. Serce polityki europejskiej przestało bić w Paryżu, bije w Berlinie, a sens tej rzeczy ludzie zrozumieją po upływie dziesiątków lat"

premier Goering w Wiedniu.

BURGOS

„Ostatni spis ludności wykazał w Barcelonie 1.062.000 mieszkańców, ale, jeśli uwzględnić napływ uchodźców z Aragonii i innych terenów wojennych, liczba rzeczywista mieszkańców sięgać będzie półtora miliona.

Barcelona była bombardowana wielokrotnie. Do połowy lutego było w Barcelonie 918 zabitych i 2.500 rannych wskutek bombardowania z powietrza lub z morza.

Ale prawdziwy potop bomb zalał Barcelonę w dniach 16, 17 i 18 marca. Dnia 16 marca bombardowanie rozpoczęło się rajdem lotniczym o godz. 10 minut 8 wieczorem. Od tej chwili do godziny 3 popołudniu dnia 18 marca nastąpiło dwanaście dalszych rajdów lotniczych. Rozkład bombardowania: 17 marca godzina 4 min. po północy, 1 min. 37, 7 min. 40 rano, 10 min. 25 przedpołudniem, godzina 1 min. 57 popołudniu, 10 min. 17 wieczorem. Dnia 18. marca: godzina 1 min. 14, 4 min. 1, 6 min. 59 rano, 9 min. 30 przed południem, godzina 1 min. 11 i 3 popołudniu.

Trzy typy samolotów zostały użyte przy bombardowaniu: hydroplany Heinkla, Junkersy i Savoia Marchetti. Ogółem brało udział w bombardowaniu około 60 samolotów. Bombardowanie trwało z przerwami 41 godzin. Podług oceny fachowców zrzucono 41 ton materiałów wybuchowych t. j. przeciętnie 1 tonę na godzinę. Naliczono 350 eksplozji.

Liczba ofiar, nie pełna (bo nie wszystkie rumowiska dotąd uprzątnięto) wynosi 900 zabitych i 1500 ciężej rannych, znajdujących się w szpitalach. 48 wielkich budynków zostało w całości zniszczonych, 100 uszkodzonych".

„Times" londyńskie, sprawozdanie własnego korespondenta z Barcelony.

LONDYN.

„Czy leży w interesie Wielkiej Brytanii, by Niemcy rządziły od Morza Północnego do Morza Czarnego i do Dardaneli? Polityka brytyjska musi oprzeć się na naszej gotowości do walki o to, w co wierzymy. Trzeba wyciągnąć wnioski i podjąć ofenzywę przeciw faszyzmowi i poniżającym doktrynom totalizmu. Zdecydowana deklaracja naszej wiary w wolność oparta o wzrost naszej siły zbrojnej, może jeszcze uratować sytuację".

Wickham Steed w „Contemporary Review".

Tranzakcja pomiędzy generałem Franco a mocarstwami „osi" nie musi być tak wyraźnie ujęta. Nie będzie mowy o odstąpieniu terytoriów, nawet nie będzie umowy o ich dzierżawę. Będzie tylko pomoc — taka, jaką otrzymywała Turcja od Niemiec przed 1914 rokiem. Porty hiszpańskie będą rozbudowane i zaopatrzone, aby mogły służyć za oparcie dla włoskich i niemieckich okrętów wojennych. Lotniska hiszpańskie będą rozplanowane i rozbudowane tak, aby mogły służyć jako bazy dla lotnictwa wojennego Włoch i Niemiec. Zbrojenia hiszpańskie będą dostosowane do typu i produkcji włoskiej i niemieckiej. De facto Hiszpania włączona będzie do włosko-niemieckiej maszyny wojennej, tak aby kółko hiszpańskie tej maszyny mogło się zacząć obracać za jednym naciśnięciem guzika w chwili wojny po stronie Włoch i Niemiec — tak, jak Turcja w 1914 r."

„Economist" artykuł wstępny.

NOWY JORK.

Postęp i dobrobyt kraju zagrożone są przez egoizm garstki jednostek... Niewielka jest różnica pomiędzy feodalizmem a faszyzmem. Kto jest zwolennikiem pierwszego, skłania się ku drugiemu. Przygniatająca większość obywateli naszego kraju jest wrogo nastawiona do feodalizmu. Jestem przeciwnikiem faszyzmu... Jeśli Ameryka ma żyć, przywileje jednostek muszą być zniesione, a w dobrobycie społeczeństwa muszą wziąć udział nie tylko ci, co są u szczytu lub w pośrodku drabiny społecznej, ale i ci, którzy znajdują się u dołu tej drabiny".

Prezydent Roosevelt w Gainesville.

„Ostrzegam Stany Zjednoczone przed faszyzmem, który jest naszym najgorszym wrogiem. Musimy bez wytchnienia walczyć z niebezpieczeństwem faszystowskim. Reżym totalny to wróg wolności amerykańskiej, jednakowo bezlitosny dla mężczyzn, kobiet i dzieci. Narody Ameryki, przeciwstawcie się faszyzmowi w kraju i zagranicą!"

Minister Spraw Wewnętrznych Stanów Zjednoczonych w Chicago.

POLITYKA DYKTATORA: SCHLEBIAĆ MASOM I — NIE LICZYĆ SIĘ Z CZŁOWIEKIEM.

Z DNIA NA DZIEŃ

„NA KOWNO!"... Z ŁOMAMI.

Teraz dopiero Polska dowiedziała się szczegółów o kulisach zajść ulicznych w Warszawie w czasie dni „litewskich". „Warszawski Dziennik Narodowy" zgłosił tytuł endecji do wawrzynów bohaterstwa za zmobilizowanie swych zwolenników z powiatów Wysoko-Mazowieckiego i Ostrowskiego. Oczywista — na pomoc Rzeczypospolitej, na pomoc — Polakom na Litwie, na pomoc starodawnej Laudzie!

Ten brak żenady i skromności zdenerwował nawet „Gazetę Polską", która „wygarnęła" co się zowie. Opinia polska dowiedziała się ze szpalt „Gazety", iż bojówki endeckie spieszące na pomoc Polakom litewskim uzbrojone były w... łomy żelazne, pałki gumowe itp. narzędzia, zgoła nieprzydatne do walki z choćby słabo uzbrojoną armią litewską, ale świetnie nadające się do... wyłamywania drzwi sklepowych. Zabrała głos prasa opozycyjna. Współpracownik „Dziennika Ludowego", który rozmawiał z tą grupą patriotów, stwierdził, że „nie wiedzieli oni wiele o Litwie, natomiast byli przekonani, że.. sklepy na Nalewkach są do objęcia przez członków Stronnictwa Narodowego".

Zamiary spełzły na niczym. Endeckich ochotników do... wojny z Litwą, przy użyciu łomów na Nalewkach, policja zatrzymała na dworcach i odesłała do domu.

I dobrze się stało, że słowa potępienia padły nie tylko z łamów „Dziennika Ludowego" ale i „Gazety Polskiej".

Pozostaje problem jeden: czy **tylko** endecy, mówiąc słowami „Gazety Polskiej" „w chwili gdy cały Naród skupił się w powadze i zdecydowanym oczekiwaniu, usiłowali przerzucić do stolicy bandy uzbrojonych bojówek, mających za zadanie wywołanie rozruchów ulicznych?" Czy „Gazeta Polska" jest pewna, że **tylko** endecy, czy choćby **przede wszystkim** endecy, rzucili „bandy uzbrojonych bojówek' na Jasną i Bielańską?

Artykulik — niedonosek

Zabawną minę musi mieć dzisiaj ten pan, który w n-rze „Prosto z mostu" z dn. 3.IV. poronił artykulik p. t. *„Katolicy w Austrii"*; poronił czyli przedwcześnie wywnętrzył kilka bardzo niedojrzałych i niedorzecznych myśli po-anschlussowych. W chwili kiedy je ronił na papier był przekonany, że płód jest zdrowy i zdolny do życia. Dziś — jak to powiadają — pluje sobie w brodę...

A wszystko przez zgubną namiętność demaskowania wszędzie „intryg masońsko - żydowskich"! Artykulik - niedonosek piętnował „zżydziałe i żydowskie agencje prasowe" za to, że wytwarzają opinię, jakoby „Anschluss" miał być ciosem dla katolicyzmu w Austrii. Zdaniem p. Prostozmostu rzecz ma się akurat odwrotnie: *„z punktu widzenia katolickiego Anschluss jest właśnie zjawiskiem korzystnym!!"* Chociaż p. Prostozmostu jest znanym specem od „katolickiego punktu widzenia" i jego słowo powinno czytelnikowi wystarczyć, niemniej, dla poparcia swego bystrego poglądu przytacza w artykuliku — z radosną satysfakcją — znane orędzie episkopatu austriackiego wraz z komentarzem kard. Innitzera. Nawiasem mówiąc, wyraża przytem głupowate (tak!) przypuszczenie, iż orędzia tego *„na pewno nie wydrukują pisma" — powiedzmy:* „żydowsko - masońskie". P. Prostozmostu jako dziennikarz powinien był wiedzieć, że prasa demokratyczna *wcześniej* niż jego tygodnik opublikowała obie odezwy biskupów austriackich — jako rzeczywiście godne uwiecznienia dokumenty, świadczące (delikatnie mówiąc) o niezwykłej wprost elastyczności sumień ich autorów... Co więcej, prasa demokratyczna podała dokumenty te *w całości*, podczas gdy p. Prostozmostu opuścił w liście kard. Innitzera punkt najistotniejszy: owo słynne końcowe „Heil Hitler"... No, ale mniejsza o to. Dość, że p. Prostozmostu skwitował „Anschluss" jako — bezmała wielki sukces dla katolicyzmu. Poczem, rad z okazanej bystrości politycznej, zakończył swój artykulik krótkim, zjadliwym — och, jak zjadliwym! — pytaniem:

„Ciekawe, co teraz wymyślą żydki prasowe, by nadal tumanić opinię katolicką?"

Aliści zamiast „żydków prasowych" odezwał się — Watykan. I, wyobraźcie sobie, bynajmniej nie podzielił przenikliwej p. Prostozmostu opinii o „Anschlussie". Dziwne to bardzo, lecz przecież — niestety — prawdziwe. Watykan zdezaprobował zarówno ducha jak i literę orędzia episkopatu austriackiego — i teraz my skolei moglibyśmy wyrazić przekonanie, że p. Prostozmostu „napewno nie wydrukuje" o tym fakcie ani słowa! Moglibyśmy, ale nie chcemy — i, prawdę mówiąc, nie warto. Wystarczy nam obserwować, jak p. Prostozmostu będzie nadal — przy różnych okazjach — ferował znakomite swe opinie... z „katolickiego punktu widzenia". Radzimy jednak na przyszłość hamować nieco pochopność w wypowiadaniu zdania o poważnych bądź co bądź sprawach — pochopność czyli t. zw. hucpę, łaskawy panie Silberf... pardon! panie Srebrnepole — Prostozmostu!

„Drobna arcyważna sprawa"

„Nasz wielki", „nasz znakomity", „nasz nieśmiertelny" — oto wspaniałe superlatywy, które szczodrą ręką wplata się w wieńce pogrzebowe wybitnych osobistości. Rażący kontrast między żarem pośmiertnego uwielbienia a zimną obojętnością ogółu dla życia twórców i ich dorobku — uwidocznił się raz jeszcze na przykładzie Karola Szymanowskiego.

W Nr. 14 „Pionu" Emilia Elsnerówna w rzeczowym artykule p. t. „Drobna arcyważna sprawa" omawia pewne zaniedbania, które wprawdzie są zdumiewające ze stanowiska kultury, ale za to świetnie harmonizują z brakiem poważnej, przewidującej troski publicznej o zachowanie i utrwalenie wartości, składanych narodowi w darze przez wielkie i twórcze duchy.

„Stała się rzecz nie do odrobienia" — pisze Emilia Elsnerówna — „Szymanowski umarł, pozostały jego wydane i niewydane kompozycje, zapisane na papie-

rze nutowym — natomiast nie pozostało ani jedno jego własne nagranie płytowe. Szymanowski wykonywał na wszystkich większych estradach światowych — sam, *osobiście* partię fortepianową swej „Symphonie concertante". Ani jedna płyta nie przekazała tego przyszłym pokoleniom"... „W znakach nutowych nie wszystko da się utrwalić i zapisać. Przyjdzie czas, kiedy sposób wykonywania dzieł Szymanowskiego stanie się problemem. Jakże wiele np. dalibyśmy dzisiaj za to, by usłyszeć choć jedną kompozycję Chopina w jego własnym wykonaniu! Ustałyby wówczas liczne kwestie sporne, wyświetliłyby się sprawy brzmienia, mniej czy więcej uczuciowego, sentymentalnego, czy prostego ujęcia chopinowskiej muzyki..."

Oh! my umiemy czcić i oceniać, umiemy podnosić po śmierci, urządzać uroczyste pogrzeby, akademie, rozpływać i ślinić się z rozrzewnienia. Do Szymanowskiego mógłby Bahr zwrócić swe słowa, pełne goryczy i melancholii: „Im Begraben sind wir gross". Po przysypaniu ziemią oceniamy wielkość. Żeby nie zniechęcać innych!

Pociąga wiosną od pól i lasów

W „Zespole" p. Janina Sułkowska omawia wyniki ankiety, którą Państwowy Instytut Kultury Wsi przeprowadził wśród byłych wychowanków Uniwersytetów Ludowych. Przytaczamy ciekawsze odpowiedzi.

Oto dziewczyna wiejska, jedna z b. wychowanek uniw. lud. w woj. łódzkim:

„Przeczytała ona w ciągu ostatniego roku 17 książek, z pośród tych ciekawsze: „Historia chłopów" Świętochowskiego, „Antek" Prusa, „Kordian i Cham" Kruczkowskiego, „Przegląd dziejów chłopa polskiego" Bobka, „O zdrowie w chacie wiejskiej". Dzieło Świętochowskiego i parę prac drobniejszych czytała wspólnie z kolegami i koleżankami w kole młodzieży wiejskiej. W najbliższym czasie znowu pragnie poznać: „Ludzi bezdomnych" Żeromskiego, „Nowy wspaniały świat" Huxley'a, „Krzyk dzikich gęsi" Ostenso, „Błogosławieństwo ziemi" Hamsuna, „Orkę na ugorze" Wiktora, „Sól ziemi" Wittlina, „Faraona" Prusa, „Serce matki" Gorkija, „Życie termitów" Maeterlincka, „Krystynę córkę Lawrance'a" — Unset. Dziewczyna ta znajduje się w ciężkim położeniu materialnym. Rodzina jej składa się z 10 osób a ma zaledwie 10 mórg ziemi. W wspólnej chacie mieszka razem osób 13, bo obok rodziny najbliższej jeszcze 3 osoby obce. Warunki więc do pracy nad sobą, do samokształcenia ogromnie trudne, roboty około gospodarstwa wiele, czasu mało, w izbie domowej ciasno i duszno.

Inny b. wychowanek U. L. z pow. pułtuskiego przeczytał w ostatnim roku: Suchodolskiego „Ideały kultury a prądy społeczne", Bystronia „Kulturę wsi", Świętochowskiego „Historię chłopów", inż. Chmielewskiego „Spółdzielczość", dr. J. Putka „Mroki średniowiecza", P. Bobka „Przegląd dziejów chłopa polskiego", Thugutta „Spółdzielczość", Burka „Drogę przez wieś", Skuzy „Fornale". Kupił z tego na własność „Historię chłopów", „Ideały kultury a prądy społeczne", „Przegląd dziejów chłopa polskiego".

Jeszcze inny z pow. wysoko - mazowieckiego kupił sobie: „Historię Polski", „Ojca zadżumionych" Słowackiego, „Zemstę" Fredry, „Treny" Kochanowskego, „Ballady i Romanse" Mickiewicza. Ten pęd do czytania, chłonięcia lektury, objaśnia najlepiej b. wychowanek Orkanowego Uniw. Ludowego w Gaci Przeworskiej: „My, którzy dobrze nie znamy życia, powinniśmy czytać książki naukowe o życiu społecznym, organizacyjnym i gospodarczym. Ale i beletrystyka nie jest tu zaniedbywana".

Dopiero w świetle tych danych można zrozumieć zaciekłość, z jaką cała reakcja, stara i młoda, bez różnicy obrządków, atakuje społeczno - oświatowy ruch młodzieży wiejskiej. Wstecznictwo woli widzieć w rękach młodego chłopa nóż, kół czy kieliszek, niż książkę, zeszyt i pióro, bo wieś oświecona i kulturalna, to nieuchronny kres ugruntowanemu na ciemnocie panowaniu dworu. I dlatego, nie przebierając w środkach zwalczają Uniwersytety Ludowe i organizacje młodzieży wiejskiej, nie tylko te z pod sztandaru „Wici", ale nawet z pod znaku „Siewu". Załoga Ciemnogrodu drży przed oświatą ludową. I ma rację.

Swoją drogą, diabelnie interesujące byłyby wyniki takiej samej ankiety, przeprowadzonej wśród młodzieży, którą starsi protektorzy pchają do zbójeckich napadów na kolegów - demokratów i „innowierców". Warto by porównać pod względem ilościowym i jakościowym lekturę tej, celebrowanej dziś jako „przyszłość narodu" młodzieży, z tym, co czyta młodzież chłopska. Nie pomylimy się chyba, gdy stwierdzimy, że bohaterowie łomu nie tylko większości wymienionych wyżej książek nie czytali, ale nie wiedzą nawet o ich istnieniu. Bo po co? Są przecież i tak elitą młodego pokolenia!

Gościnna mogiła

Przez szacunek dla majestatu śmierci, człowiek na pewnym szczeblu uczuciowej kultury na zawsze wyrzeka się niechęci czy nienawiści w stosunku do zmarłego przeciwnika a nawet — nieprzejednanego wroga. Na krawędzi grobu urywają się wszelkie porachunki życiowe.

Zdawałoby się, że do pojednawczej postawy wobec zmarłych najbardziej powołane i niejako predysponowane jest duchowieństwo wszelkich wyznań. Zachodzą jednakże wypadki, które temu przeczą. Taki właśnie wypadek zdarzył się ostatnio w Poznaniu, gdzie zmarł Stanisław Nowakowski, uczony światowej sławy i profesor tamtejszego uniwersytetu

Ten szermierz światła i wolności nie cieszył się względami nadobnej publiczności, która naukę i sądy o rzeczach oraz natchnienie czerpie u źródeł „Małych Dzienników". Niechęć i nienawiść, żywione przez tę publiczność do wszystkiego, co tchnie swobodą myśli i wierzeń, wytworzyła zatrutą atmosferę wokół prof. St. Nowakowskiego, nienawiść tak niepohamowaną i zaciętą, że nie przygasła ona nawet u wezgłowia zmarłego.

Otoczenie znakomitego uczonego, pragnąc pochować go na cmentarzu katolickim, nie zdołało przemóc tej niechęci i nie wyjednało zgody na pogrzeb ze strony duchowieństwa. Przyjaciele obeszli kilku księży, spotkali się wszędzie z mniej lub więcej dobitnie wyrażoną odmową. Znalazł się nawet taki kapłan, który na wiadomość, że chodzi tutaj o pogrzeb prof. Nowakowskiego zawołał w uniesieniu: „Co? Nowakowski? Nie! chyba na miejscu niepoświęconym!" (to znaczy przeznaczonym dla samobójców, t.j. jak się mówi „pod płotem").

Jednakże ciało oddano ziemi, ale nie na cmentarzu katolickim: skorzystało ono z gościny innego wyznania i spoczęło na cmentarzu ewangelickim: duchowny tego wyznania z bezwzględną życzliwością zgodził się na pochowanie **katolika** na cmentarzu **ewangelickim**.

Odpowiedź „wycieraczom kawiarni i bruków"

Prasa reakcyjna zarzuciła ludowcom, że podczas dni marcowych nie ujawnili ponoć patriotyzmu. Wrogowie polskiej demokracji i chwalcy ościennego totalizmu usiłowali zdyskredytować w ten sposób ruch ludowy, a pośrednio i cały obóz demokratyczny.

Tym osobliwym patriotom udzielona została dosadna odpowiedź w artykule, ogłoszonym przez „Zielony Sztandar" i „Piast". Powiedziano tam pod adresem zawodowych mącicieli:

„Ci chłopi ludowcy, a nie kto inny, mają zapełnić kadry obrońców w razie potrzeby. Oni mają dać konie, wozy, mięso, robotnika. Oni staną murem, albo nikt nie stanie. Oni tam będą, gdzie się Ojczyźnie służy nie pyskowaniem, ani wycieraniem kawiarni i bruków, nie pisaniem krzykliwych artykułów, poniżających i donosicielskich, ale sobą i swoim mieniem. Panicze, chodzący od brzegu do brzegu, zmieniający przekonania i panów stosownie do koniunktury i potrzeby, tani patrioci zasługujący na wzruszenie ramion, jeśli nie na pogardę, powinni być nieco spokojniejsi i tak rad, jak i nagany przestać udzielać. Ludowcy znają obowiązki i wiedzą, jakie są intencje tych, co się dopatrzyli ich nieobecności przy dobijaniu się o łaskę i laury. Z papugami endeckimi konkurować nie będą. Zachowanie się zapamiętają"!

Słowa powyższe — to nie tylko odpowiedź chłopów obywateli pod adresem polityków ulicznego bruku. To postawa całego obozu demokratycznego i patriotycznego, który bezpieczeństwo i niepodległość Rzeczypospolitej widzi nie w zbrodniczych wyczynach bojówkarskich watah, ale w oparciu obrony kraju na najszerszych rzeszach ludowych.

Laury rycerskie

Pasterz endecki poucza w „Orędowniku" swoje owieczki: „W organizacji Wiciowej działają siły podrywające wiarę ojców i uczucia narodowe a sama organizacja kierowana jest przez Żydów".

Niewątpliwie ta ostatnia rewelacja wprawi w przykre zdumienie „Wiciarzy" którzy wybierali swoje kierownictwo na ostatnim Zjeździe w przekonaniu, że powołują Polaków. Okazuje się, że w swojej naiwnej (dobroduszności głosowali na Żydów, przebranych za chłopów.

Zdemaskowawszy w ten sposób ludowców jako ośrodek „żydokomuny", endecy zabierają się do tępienia ich swoimi metodami. Jeszcze nie przebrzmiały echa zamordowania przez członków Katolickiego Związku Młodzieży w Domaszowicach pod Kielcami Wiciarza Białka („narodowiec", adwokat Chęciński, bronił na rozprawie morderców słowami: „Na niczym by się nie skończyło, gdyby nie temperament komunizującego Białka"— Białek notabene dopiero na kilka tygodni przed śmiercią wystąpił z Katolickiego Zw. Mł.). A oto znowu w Stojkowie w pow. Czarnkowskim ściągnięte z całego powiatu kohorty endeckich bojówkarzy napadły na zebranie Str. Ludowego. Nie szczędziły nikogo, ani 64-letniego starca, Bartłomieja Andrzejewskiego, któremu łomem rozbili głowę, ani młodziutkiej Wiciarki Freskównej, rzuconej na podłogę i skopanej przez sławetnych rycerzy. Stara historia. Bojówkarze uczą się na Żydach a stosują nabyte umiejętności na swych przeciwnikach politycznych.

Związek Młodzieży Wiejskiej „Znicz" w Krakowie w liście do Wielkopolskiego Związku Młodzieży Wiejskiej „wyraża oburzenie na niespotykane w kulturalnym społeczeństwie brutalne metody walki polskich faszystów, wyraża swą solidarność w zdecydowanej walce z reakcją, którą reprezentuje Stronnictwo Narodowe". Zaś Wielkopolski Związek Młodzieży Wiejskiej odpowiada twardo: „Żadne bojówkarskie, bandyckie napady reakcji narodowej nie odstraszą nas od idei Polski Ludowej". Nieomylnym znakiem przemiany jest postawa chłopów, którzy imieniem kultury i człowieczeństwa piętnują haniebną robotę zbirów z cenzusem naukowym.

Chińskie cienie

Żywotność Stronnictwa Ludowego wznieca istną panikę w obozie niewiadomszczyzny. Wiadomo, że w chwili obecnej padają pod naporem ludowców takie twierdze endeckie jak Opoczyńskie, Koneckie, Radomskie. Wierności dochowuje tylko szlachta zagrodowa z Podlasia i te jej szeregi, co to myślały że Nalewki leżą w Kownie i rwały się na Litwę z kastetami i łomami.

Gniew „narodowy" wyładowywa się w niesłychanych inwektywach pod adresem ludowców. Jakiś p. Przygodzki np. w „Warszawskim Dzienniku Narodowym (3. bm.) odkrywa w sposób rewelacyjny, że „w sierpniowym strajku ludowców kierownictwo akcji przeszło tylko w ręce czynników komunistycznych". Słyszeliśmy już tę melodię — w różnych brukowcach. Ale prokuratura małopolska jakoś nie podchwyciła jej w aktach oskarżenia. Jedno z dwojga: albo na procesach chłopskich oskarżeni i prokuratorzy wspólnie i zgodnie bałamucili opinię, przypisując kierownictwo strajku władzom Stronnictwa Ludowego albo — b. poseł Gruszka, przedstawiciel najbardziej umiarkowanego skrzydła ruchu ludowego, oraz hr. Drohojowski, bezpartyjny sympatyk ludowców, zwolennik reformy rolnej za odszkodowaniem należą do „czynników komunistycznych". Dziw tylko, że przytępiony słuch niewybrednych czytelników pism endeckich znosi jeszcze bez wybuchów szału tę ograną melodię do słów fałszywego i perfidnego refrenu.

Wymowa liczb

Tygodnik „Zespół", pismo ani ideowe, ani polityczne niezwiązane z demokracją, podaje ciekawe zestawienie, obrazujące skład społeczny naszych ciał parlamentarnych:

Przedstawiciele	Sejm	Senat
chłopów	19%	8%
ziemian	21%	25%
pracowników umysł.	16%	8%
robotników	7%	2%
rzemieślników	2%	—
przemysłu i handlu	7%	8%
wolnych zawodów	13%	30%
innych	15%	19%

„Zaiste, dziwny to skład przedstawicielstwa narodowego — pisze organ sanacyjny — gdy się uwzględni, że około 70% (ponad 20 mil.) ludności chłopskiej pozwolono łaskawie wybrać aż... 19% posłów i 8% senatorów. Gdy natomiast 19, czy 20 tys. rodzin ziemiańskich posiada 21% swoich reprezentantów w Sejmie i 25% w Senacie. Robotników reprezentuje (?) tyluż posłów, co przedstawicieli wielkiego przemysłu i handlu, natomiast w Senacie przemysłowcy mają czterokrotnie więcej swych przedstawicieli, niż robotnicy".

„Zespół" pomija rzecz najistotniejszą. Ci chłopi, robotnicy, pracownicy umysłowi, zasiadający w Sejmie i Senacie, bynajmniej nie reprezentują chłopów, robotników i pracowników umysłowych. Termin „przedstawiciele"—użyty w nagłówku powyższego zestawienia — może być zastosowany naprawdę tylko do rubryk: „ziemian" oraz „przemysłu i handlu". Te grupy społeczne rzeczywiście mają w naszym parlamencie swoją reprezentację. Natomiast termin „ reprezentanci" w innych rubrykach staje się grubo nieścisły.

POSTAWA MŁODEJ DEMOKRACJI

Sekcja Młodych Klubu Demokratycznego w Warszawie zorganizowała „Poranek młodej demokracji", poświęcony świętu chłopskiemu w Racławicach z udziałem przedstawicieli „Wici", „Młodych Demokratów" i „Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej". Część artystyczną Poranku wykonać mieli literaci chłopscy: Wincenty Burek, Marian Kubicki, Wojciech Skuza i inni.

P. Nagórski, zagajając akademię imieniem Sekcji Młodych oświadczył, że Stronnictwo Ludowe odwołało w całej Polsce uroczystości racławickie, wobec czego na znak solidarności z ludowcami Młoda Demokracja odwołuje uroczystości dzisiejsze. Przedstawiciel „Wici", omówiwszy znaczenie „czynu racławickiego" i obchodu Racławic podniósł i powitał radośnie postawę solidarności, zajętą przez Sekcję Młodych Klubu Demokratycznego.

Szkalowanie średniowiecza

Bowiem nic tak nie cieszy serca ludzkiego, jak radość wolności, i nic go tak nie osłabia, jak ucisk niewoli.

GÉRARD DE GALLES,
kronikarz francuski na dworze Henryka II, króla Anglii (wiek XII).

Każdy nowy akt gwałtu i barbarzyństwa, którym czciciele doktryny zmechanizowania jednostek i narodów znaczą swój pochód ku wszechwładzy drogami samowoli i bezprawia, u ludzi, zachowujących jeszcze swe wewnętrzne ludzkie oblicze, rodzi dziś moralny sprzeciw w słowach: „Staczamy się w mroki średniowiecza", „Cofamy się do wieków średnich", lub w innych o takim samym sensie.

Ten wyraz chwalebnego oburzenia i najlepszej woli obrony kultury duchowej przed grożącą jej zagładą, grzeszy zbyt powierzchownym spojrzeniem na okres dziejowy, użyty, jako porównanie, do napiętnowania roli dzisiejszych dyktatur.

To co się dzisiaj dzieje na znacznej przestrzeni Europy zachodniej, a więc na terytoriach, gdzie rozwijała się chrześcijańska cywilizacja średniowieczna, każe (dożyliśmy takiego paradoksu) wyznawcy poglądów demokratycznych wystąpić przeciw... szkalowaniu średniowiecza.

Boć nie wolno zapominać, że: 1) między stuleciami powszechnej ciemnoty, panowania zabobonu i zwiazanej z tym srogości obyczajów, a wiekiem XX leży długa droga rozwoju oświaty, rozkwitu wiedzy i użycia jej do podniesienia poziomu kultury materialnej i umysłowej — co wiedzie za soba złagodzenie form obcowania ze sobą ludzi; 2) średniowieczu, zorganizowanemu na zasadach wspólnoty rodowej, kastowej, a później stanowej, obce było pojecie „społeczeństwa", jako zbiorowości i „obywatela", jako jednostki (podobieństwo faszyzmu do średniowiecza w tym chyba widzieć można, że w ustrojach totalistycznych również nie istnieje pojęcie społeczeństwa i obywatela).

Nie szkalujmy średniowiecza, z całym jego złem, porównywając z ową epoką w dziejach Europy czasy dzisiejsze!

Oto garść pierwszych lepszych faktów historycznych, przykładów na poparcie mojej gorzkiej tezy:

1. Wyprawy krzyżowe stały się początkiem *odrodzenia europejskiego*.

Wojna światowa 1914 — 1918 stała się początkiem *uświęcania przez prawo walki z intelektem i wolnością człowieka*, walki ze zdobyczami duchowymi „głupiego" XIX wieku.

2. Templariusze i rycerze św. Jana Jerozolimskiego budują podczas krucjat pierwsze wielkie floty chrześcijańskie i tworzą pierwszą *międzynarodową siłę zbrojną*.

Członkowie Ligi Narodów nie potrafią dla skutecznej ochrony paktu Ligi stworzyć jej niezbędnej egzekutywy: *międzynarodowej siły zbrojnej*. Przyczyna: rycerstwo Europy miało wspólną ideę — państwa Europy powojennej żadnej wspólnej idei nie miały.

3. Wszechnica (*Uniwersitas*) XIII wieku, przy niskim poziomie ówczesnej nauki, miała w sobie ducha niezależności, zachowanego mimo autorytetu kościoła. Przywileje uniwersyteckie, szanowane przez królów, możnowładców, zgromadzenia ustawodawcze i gminy miejskie, przetrwały wszelkie burze polityczne i nie poddały się uzurpatorskim zakusom czynników postronnych.

Niepodobna przypuścić, aby senat sławnego uniwersytetu w Bonn, samorzutnie, bez żadnej presji z zewnątrz, uchwalił własne pohańbienie — odebranie tytułu doktora honoris causa jednemu z najznakomitszych intelektualistów niemieckich, laureatowi Nobla, Tomaszowi Mannowi.

4. Średniowieczne mieszczaństwo londyńskiej City jest organizacją o takiej potędze i autorytecie, że Wilhelm Zdobywca, który równał z ziemią warowne zamki panów angielskich, zabiegał o życzliwość władz miejskich zdobytej stolicy kraju i skwapliwie potwierdził wszystkie przywileje City, „które były wasze w czasach króla Edwarda. I nie ścierpię, by ktokolwiek uczynił wam jaką krzywdę". A kiedy papież Inocenty III rzucił klątwę na mieszczan Londynu za bunt przeciw złemu królowi Janowi bez Ziemi, zmuszonemu przez tę rewoltę do podpisania Wielkiej Karty Swobód (Magna Charta), za zgoda arcybiskupa Canterbury, Lord-Mayor City kazał bić we dzwony i odprawiać mszę, udzielać sakramentów, jakby nigdy nic.

Wyliczanie przykładów korzenia się w wieku XX podestów i bürgermeistrów przed wolą dyktatora za wiele zabrało by tu miejsca.

5. Średniowiecze znało akty wielkiego okrucieństwa podczas prowadzenia wojny. Stare kroniki mówią, że król Francii, Ludwik VII, mszczac się na swym wrogu, hrabi Szampanii, kazał spalić żywcem

w kościele w Vitry 1300 jego zwolenników, którzy tam się ukryli. Inny okrutnik XII wieku, otoczony aureolą "błędnego rycerza", angielski Ryszard Lwie Serce, gdy podczas trzeciej wojny krzyżowej Saladyn odmówił wykupienia swych jeńców, kazał ich wymordować. I przez długi czas, pisze Joinville, Saraceni straszyli swe dzieci: „Cicho bądź, bo sprowadzę króla Ryszarda, i on cię zabije"...

Ale średniowiecze nie znało prowadzenia wojny z kobietami, dziećmi i starcami. Nie do pomyślenia jest w owych niechybnie mrocznych czasach ani Guernica, ani bombardowanie otwartych miast Hiszpanii. I nie dlatego, że nieznane były wówczas samoloty i bomby.

Nie dlatego.

6. Jeden z najwybitniejszych królów angielskiego średniowiecza, twórca parlamentu dwuizbowego, Edward I, gdy niepowodzenie wojen krzyżowych wywołało nawrót nienawiści powszechnej do jedynych „niewiernych", jakich się miało pod ręką, niezdolnych do bronienia się przed represjami, dekretem z r. 1290 wypędził wszystkich Żydów z Anglii. Krok przedsięwzięty przez króla, pisze Maurois w swych „Dziejach Anglii", był mniej nieludzki niż prześladowania, które go poprzedziły. Pozwolił Żydom zabrać całe swoje mienie i kazał powiesić tych marynarzy, którzy ograbili lub zamordowali wygnańców podczas podróży.

Pytanie do nagrody: jaka kara spotkałaby w niektórych krajach Europy XX wieku winnych takiego samego przestępstwa?

Jakiż z tego wszystkiego wniosek?

Zamieściłem go już, jako tezę, na początku mych uwag:

Nie szkalujmy średniowiecza, z całym jego złem, porównywając z ową epoką w dziejach Europy czasy dzisiejsze!

WACŁAW ROGOWICZ

Niemcy i Włochy — ogniska zapalne
i ośrodki niepokoju

W Nr 9 „Epoki" zamieściliśmy obszerne streszczenie źródłowego artykułu o Niemczech z londyńskiego czasopisma „Economist". Dziś pragniemy zaznajomić naszych Czytelników z kapitalną pracą, napisaną przez W. J. Knopa w najświeższym, kwietniowym zeszycie angielskim „The Banker". W odróżnieniu od liberalnego „Economist", — nigdy prawie „The Banker" nie zabiera głosu w aktualnych sprawach politycznych, dbając przede wszystkim o swoją rolę ściśle gospodarczą, niemal tylko techniczną. Czasopismo to jest organem „big five", „wielkiej piątki" banków City i ich działalności poświęca właśnie lwią część swego każdego zeszytu.

„Big five" stanowi, jak wiadomo, jeden z głównych filarów, na których wspiera się potęga partii konserwatywnej, rządzącej dziś Wielką Brytanią. Tym większej wagi nabiera opinia tego organu o Niemczech i Włoszech. Czytelnik będzie mógł się przekonać poniżej, jak bardzo te spokojne i obiektywne rozważania konserwatywnego czasopisma różnią się od zachwytów niektórych polityków polskich, olśnionych tak bardzo sukcesami gospodarczymi Włoch dzisiejszych, że aż gotowi są przedstawiać nam je niemal za wzór doskonałości.

EPOKA

Kto po Austrii następny? Niemal bez sprzeciwu i oporu, jak dotąd, Niemcy kroczą drogą, wytkniętą w „Mein Kampf". Celem pierwszym na tej drodze jest osiągnięcie zjednoczenia wszystkich Niemców w jednym państwie. Przez „Anschluss" austriacki cel ten osiągnięty został dopiero w połowie. Nie ulega wątpliwości, że „Nazi" nie ustaną w połowie drogi. Czechosłowacja, Litwa, Belgia, Dania oto kolejne „potencjalne ofiary" nowego, wojującego pangremanizmu. A kiedy ten cel zostanie osiągnięty — wówczas przyjdzie kolej na etap następny, określony przez samego kanclerza Hitlera („Mein Kampf", str. 1) jako podbój obcej ziemi i kolonii.

Trudności gospodarcze pchają Niemcy do wojny. Gdyby nawet wodzowie Trzeciej Rzeszy wzdrygali się przed rozpętaniem światowego kataklizmu, wewnętrzne trudności gospodarcze zmuszą ich do tego. Niesłychane dotąd natężenie zbrojeń wywołuje coraz ostrzejsze napięcie gospodarcze i społeczne. Podbój Austrii wzmocnił pozycję polityczną reżymu wewnątrz kraju. Ale jak długo trwać będzie ten stan wzmocnienia? Trudności gospodarcze będą rosnąć. Dalsze uprawianie dotychczasowej polityki zbrojeń musi siłą rzeczy doprowadzić do nowego obniżenia stopy życiowej ludności i zagrozić poważnie siłom przemysłowej Rzeszy. Austria, co prawda, nieco wzmocni zasoby niemieckie. Ale to wzmocnienie na krótko — nie więcej niż na jeden rok (inne źródła oceniają to dobroczynne działanie na okres wiele krótszy). Nadomiar Austria będzie kosztować. Doprowadzeie austriackiej, słabo wyekwipowanej armii do stanu pełnowartościowych regularnych dywizji Reichswehry wymaga nakładu środków i to nakładów wielkich. Rzesza zaś nie ma ich zbyt wiele. Przez lata ostatnie Niemcy pokrywały swoje wydatki drogą wszelkiego rodzaju kombinacji pożyczkowych. Dr. Schacht zapowiedział ostatnio likwidację wszelkich tajnych pożyczek, „Sonderweksli" i t. d. Ale czy będzie mógł to wykonać? Wydatki Rzeszy w przyszłym Roku budżetowym wyniosą conajmniej 30 miliardów marek. Wpływy, podług mowy kanclerza Hitlera w Reichstagu, wyniosą 17 miliardów. Dodajmy do tego różne „datki dobrowolne" w sumie 1.5 miliarda, a pozostanie jeszcze 11.5 miliarda deficytu. Ze źródeł długoterminowych pożyczek da się osiągnąć najwyżej 5 miliardów marek. Pozostaje pokaźna suma do pokrycia w drodze operacji krótkoter-

minowych, operacji, grożących, podług opinii samego dra Schachta, następstwami inflacyjnymi.

Armia rentowną instytucją! Jakimi sposobami Niemcy zechcą przezwyciężyć swe trudności? Któż może wątpić, że z chwilą, kiedy przywódcy Nazi przekonają się o braku stali do dalszych zbrojeń oraz środków do wyżywienia ludności, — będzie to sygnałem do ataku na inne kraje? Austria była pierwszym przykładem. Niemiecka prasa mówi o tym otwarcie. „Deutsche Allgemeine Zeitung", jeden z czołowych organów berlińskich, polemizuje ze wszystkimi, którzy krytykowali „nieprodukcyjne" rzekomo zbrojenia niemieckie. Czy nie widzicie — pyta — że pokojowe zastosowanie broni niemieckiej w Austrii było wysoce owocne właśnie pod względem gospodarczym? Że „silna armia", której wyposażenie techniczne bynajmniej nie jest tanie, opłaca się w sumie bardziej niż co innego, bo nietylko broni, ale i powiększa przestrzeń życiową narodu niemieckiego".

Powstaje pytanie: z chwilą, kiedy wyczerpią się zapasy zdobyte w Austrii, w jakim kierunku zwrócona zostanie armia niemiecka, by „powiększyć — mówiąc słowami „Deutsche Allgemeine" — przestrzeń i bogactwo narodu niemieckiego"?

Włochy są słabe. Kogóż w Europie nie zdumiała łatwość, z jaką Mussolini zrezygnował z Austrii? Widziano w tym następstwa umowy, zawartej między Włochami a Rzeszą, gwarantującej Mussoliniemu swoje poparcie na Morzu Śródziemnym. Umowa taka niewątpliwie istnieje, ale mimo to „Anschluss" oznacza osłabienie pozycji Włoch. Jeśli Mussolini zgodził się na „Anschluss", to tylko dlatego, że musiał, że jego położenie stało się ostatnio rozpaczliwe. Włochy są słabe, bo dwie awantury wojenne, połączone z gwałtownymi zbrojeniami i forsowaniem polityki autarkicznej wyczerpały rezerwy gospodarcze kraju.

Abisynia mści się. Wojna abisyńska kosztowała Włochy, oprócz strat w ludziach, 12 miliardów lirów w gotówce, przyniosła stratę przynajmniej 6 miliardów lirów w postaci rezerw złota i dewiz. Wydatki te, jak dotąd, nie przynoszą zysków. Abisynia, zamiast być rentowną inwestycją, okazuje się dławiącym obciążeniem gospodarki włoskiej. W r. 1937 koszta okupacji włoskiej w Abisynii wynosiły 400 milionów lirów miesięcznie. W lutym 1938 liczba ta wzrosła do 850 milionów. Obroty handlowe z Abisynią obejmują narazie import na pokrycie zapotrzebowania armii okupacyjnej, operację mało zyskowną z punktu widzenia całości gospodarstwa narodowego. Bierny opór krajowców zmusza Włochy do importowania nawet żywności dla dwustu-tysięcznej załogi włoskiej.

Ile kosztuje „nacjonalizm hiszpański" gen. Franco? Koszta interwencji w Hiszpanii również obciążają w niesłychany sposób gospodarstwo włoskie. Włochy utrzymują w Hiszpanii własnym kosztem około 60 tys. ludzi korpusu ekspedycyjnego. Włochy dostarczają generałowi Franco tanków, samolotów, dział, wszelkich materiałów wojennych w olbrzymich ilościach. Zadłużenie gen. Franco u Włochów (tylko u Włochów — bez Niemiec!) wynosiło na początku marca 3,5 miliarda lirów. Niewątpliwie, Franco obiecuje wiele. Ale nawet gdyby zwyciężył, nie ma mowy o tym, by odrazu spłacił swe długi. Przeciwnie, będzie żądał dalszych kredytów dla odbudowy gospodarczej kraju. To, co mogłoby być zdrową inwestycją długoterminową, jest źródłem smutnych rozczarowań, jeśli chodzi o szybkie, natychmiastowe wpływy.

Ekspansja kosztem rzesz ludowych. Wszystkie te koszta przerzuca faszyzm na życie gospodarcze Włoch. Stopa życiowa, ludności, która nigdy nie była zbyt wysoka, obniżyła się wskutek awantur wojennych o 25%. Lata propagandy urzędowej przyzwyczaiły przeciętnego Włocha do ponoszenia ofiar, ale istnieje pewna granica dla wszelkiej ludzkiej cierpliwości. Mimo podniesienia podatków, mimo nakładania nowych, wpływy skarbowe nie nadążają za wydatkami. Deficyt na przyszły rok budżetowy zapowiada się większy niż kiedykolwiek.

U kresu rezerw dewizowych. Najtrudniejsza jest sytuacja w obrotach zagranicznych. Włochy, kraj ubogi w surowce i bogactwa przyrodzone, muszą importować je z zagranicy. Eksport włoski dotąd nie przekroczył poziomu z lat przedsankcyjnych. Deficyt bilansu handlowego wyniósł w r. ub. 5,6 miliardów lirów. W ostatnim roku Włochy oddały zagranicę 3 miliardy lirów w złocie i w dewizach, zmniejszyły swe zapasy surowców zagranicznych o 1 miliard lirów. Rezerwa złota i dewiz wynosiła w końcu ub. roku około 6 miliardów. To znaczy rezerwy walutowe Włoch zbliżają się do swego wresu. A dalej pasa zaciskać nie sposób, bo jest on już tak zaciśnięty, że dalsze usiłowania w tym kierunku grożą utratą tchu.

Zmiana, ale w którą stronę? Wszystko to zmusza Włochy do decyzji. Stan obecny nie może trwać długo. Ulgę mogłaby przynieść radykalna zmiana polityki i przejście na bardziej pokojowe drogi. Ale to wymagałoby dokonania zupełnej „volte-face", bez której nie masz gospodarczej poprawy, wymagałoby gruntownego „zerwania sojuszu z „Nazi"-zmem, a to jest niemożliwe.

Dlatego najprowdopodobniejsze jest wzmocnienie polityki ekspansywnej, ręka w rękę z Niemcami, które, dzięki mocnej swej pozycji nad Brennerem, mogą wywierać skuteczny wojskowy nacisk na Włochy. A idąc po tej drodze, Włochy muszą się przygotować na „dzień zapłaty", jeśli nie polityczny, to gospodarczy, „dzień" zapłaty", który z natury rzeczy nie da się odsuwać w nieskończoność. Czy Włochy nie zechcą uprzedzić katastrofy jakimś wybuchem rozpaczy?

DWA PATRIOTYZMY

Istnieją dwa patriotyzmy. Jeden składa się ze wszelkich nienawiści, wszelkich przesądów, wszelkich niskich antypatyj, które ludy obałamucone przez władców, zainteresowanych w tym, aby je dzielić, żywią wzajem przeciwko sobie.

Ale jest i patriotyzm drugi, który się składa, przeciwnie, z wszelkich prawd, dążeń i praw, które ludom są wspólne.

A. DE LAMARTINE

Dzieciństwo w pamięci Jakuba

Syn Małgorzaty i Antoniego od niepamiętnych czasów długie miesiące spędzał w domu dziadków. Widocznie dość wcześnie zaczęło być nie dobrze. Najpierwsze wspomnienia Jakuba to były te wyjazdy i powroty.

W domu było smutno. Małe dzieci umierały, później brały się jednak nowe — skąd? Z przyjazdów ciotki Pauliny, z szeptań, pośpiechu, drzwi zamkniętych, dziwnego krzyku.

— Czego się boisz? O, przyjrzyj się, to jest twoja siostrzyczka, — mówiła wesoło ciotka Paulina, potrząsając owiniętym dzieckiem.

Jakub ze wstydem odwracał oczy od jego czerwonej, krzyczącej twarzy. Bał się, że znowu umrze. Uczuwał, że umieranie jest czymś równie niedelikatnym, niewłaściwym, jak przychodzenie na świat.

W pokoju na łóżku matka często leżała — nawet gdy nie było nowego dziecka. Raz kiedy chorowała dłużej, ciotka Paulina odjeżdżając zabrała Jakuba do siebie na święta. W jej bogatym domu przed świętami malowali podłogi, „zaciągali olejno", jak mówili starsi, i trzeba było chodzić po ułożonych na wierzchu deskach. Pianina, które Jakub widział tam pierwszy raz w życiu, nie ruszyli z miejsca, tylko jego krótkie czarne nóżki ostrożnie obmalowali dookoła. Klęcząc na deskach, stary malarz wychylił się daleko i palcami zebrał jakiś paproch, przylepiony mokrą farbą do podłogi. Wuj Józef krzyczał, że nie ma się gdzie podziać, ale pilnował sam, żeby farbę rozcierali równo i cienko i pokazywał, gdzie jest źle. Miał dużą brodę, dzieci bały się go, nawet starszy Modest. W pokoju sypialnym, koło pieca, wisiała na gwoździu dyscyplina, zrobiona z sarniej nóżki. Wszyscy lubili tylko Paulinę, która miała dobre serce.

Modest prowadził Jakuba na podwórze, obchodzili jakieś komórki, zaglądali przez szpary w drzwiach, zamkniętych na kłódkę, chociaż nic tam wewnątrz nie było widać. Dwie siostry Modesta były jeszcze małe i chodziły za nimi lękliwie z daleka. Modest nie lubił ich, bo „skarżyły". — Te komórki uwięzły na długo w pamięci Jakuba i brały nieraz zły udział w jego snach.

Na gwiazdkę dzieci dostały podarunki — farby w pudełku, skrzypce z żółtego drzewa, loteryjkę. Modest miał konia na biegunach, a Jakub wierzył, że to jest wypchany źrebak. Nie wiedział, że choinka może być aż do sufitu ani co to jest tort. Książkę z obrazkami, którą otrzymał, oglądał z bolesnym zachwytem, udając obojętność. Miała na świecącej okładce wielką żółtą wilgę i pęczek czerwonych wiśni. Z tej książeczki przeszedł też na długie lata do zasobów pamięci Jakuba niezapomniany rytm wiersza: „Jak rozwiną ptaszki skrzydła, jak uciekną od straszydła...".

Ale wyjazdy do babki Ludwiki były najdawniejsze. Stamtąd pochodziły te krótkie kawałki życia, wystające z mroków, małe okienka, wybite w ciemności dzieciństwa. Jakże męczyła go ta ciemność nieprzenikniona „samego początku"! Nie wiedział przecież, kiedy się zaczął, nic a nic nie mógł sobie przypomnieć. Sam dla siebie wyłaniał się ze straszliwej niepamięci, jak tonący czepiał się powietrza i światła. Zestawiał siebie z nikłych strzępków, z urwanych przypomnień, najbardziej mglistych przejaśnień.

Czyżby to było najpierwsze? Że w zamkniętej przestrzeni jakiegoś nieokreślonego pokoju siedzi na podłodze i w pobliżu drzwi widzi na gwoździu wiszący kapelusz. Czyżby wtedy „zaczął być"? Czy możliwe, aby od tego się zaczęło?

Urywa się to i długo nie ma nic więcej. Później jest duży cień człowieka o twarzy niewidocznej, strach przed nim, wyciągnięcie ręki odpychającej. Odchodzi od tego miejsca — jednak nie sam, jest wyniesiony, jest więc jeszcze dzieckiem „na rękach". Znacznie później kłujące pocałunki kogoś, kto nie prędko okaże się dziadkiem Fabianem. Rzecz dziwna, że wspomnienia matki i ojca są późniejsze.

Teraz już zagęszcza się rzeczywistość. Oto Jakub budzi się w ciemnym pokoju, nikogo niema, jest sam w łóżku. Przez sęki w okiennicach wchodzi słońce. Słychać ćwierkanie ptaków. Zimny zapach powietrza idzie dołem od drzwi kuchennych, już otwartych na ogród. W kuchni rusza się babka Ludwika. I zaraz ciemność, całkowity niebyt na długie miesiące. Nic.

A to już jest bardzo wyraźne: zagon truskawek nisko pod samymi sztachetami, dawno wyzbieranych, żółknących. Ale jakąś ostatnią jagódkę, skurczoną, małą i słodką, można jeszcze znaleźć pod liśćmi. Jej smak i zapach da się rozeznać we wspomnieniu. Na spodzie liście żółkną i czerwienieją, po mokrej ziemi, zaśmieconej badylami, jasne długie wąsy z pędzelkami listków odchodzą w skokach daleko na ścieżkę. Pamięta się też dobrze zapach gruszek, leżących w trawie pod drzewami. Były słodkie i wodniste, ich żółta, centkowana skóra miała po sobie spierzchnięte dziurki, wyjedzone przez osy.

Os było dużo w ogrodzie. Ugryzła go raz w nocy na strychu, gdy poszedł z dziadkiem spać na sianie. I wtedy — pierwszy raz w życiu — nie widział Fabiana, tylko zaledwie wiedział go obok siebie w tej kłującej sianem, gorącej ciemności. Czy już wtedy zaczęły się te myśli o człowieku, jako worku ze skóry, rozpiętym na kościach i pełnym wnętrzności? Myśli o człowieku, jak o czymś dziwnym.

Jeden przyjazd — wtedy chyba z ojcem. Jechali przez miasto fiakrem. Kosz z „rzeczami", zamknięty na długi pręt żelazny stał przy koźle, wypychał wysoko w górę nogi woźnicy.

Wtedy wuj Staś, ten co miał umrzeć tak młodo, stał przed furtką w zielonych sztachetach. Odrazu prowadzi Jakuba wąską ścieżką pomiędzy porzeczkami. Jedne są czerwone, drugie żółte, rosną naprzemian, je się ich dużo, choć bardzo są kwaśne. Jakub woła Fidla. Przychodzi niechętnie pies nieduży, stary i tłusty. Jest czarny z brązowymi plamkami, nos ma siwy, pokryty jest włosem krótkim, twardym i gęstym na sfałdowanej skórze. Wuj mówi, że gdyby miał obcięty ogon i uszy, byłby rasowy.

Za dużą altaną, na białej koniczynie stoi huśtawka. Jakub wchodzi na ławeczkę i chušta się „na stojący", z rękami mocno zaciśniętymi na linach. Wylatuje tak wysoko, że prawie leży na powietrzu.

— Trzymaj się, trzymaj, Kuba — woła wuj Staś, który sam jest jeszcze prawie chłopcem, ma włosy bardzo jasne i oczy niebieskie.

Jest to kochany wuj. Ze wspomnień o nim są już tylko dwa. Jedno jest dość dziwne: wszyscy siedzą naokoło stołu, jest dzień — i nagle jedna deska podłogi unosi się sama do góry, a z pod niej wychodzi niespodzianie wuj i śmieje się ze strachu, którego narobił. Wyjmuje z kieszeni butelkę wina i stawia na stole. Jakub dowiaduje się rzeczy zadziwiającej, że piwnica pod domem, do której wchodzi się przez drzwiczki w pokoju za kuchnią, ma tutaj ukryte wyjście.

Drugie zaś, to: wuj przychodzi pod okno pokoju i przywołuje Jakuba. Spotykają się przy drzwiach od kuchni. Wuj jest tajemniczy, idzie w głąb ogrodu za altanę i układa coś w papierze niedaleko chuśtawki na trawie. Obaj z Jakubem uciekają prędko pod parkan. Po chwili słychać wielki huk. „To proch" — mówi wuj zadowolony. Jakub nie rozumie co to znaczy, ale wierzy wujowi, że tak trzeba i jest szczęśliwy mogąc go uwielbiać.

Następne lato jest po długiej przerwie. Wuja Stasia już niema i niema też dziadka Fabiana. To, że nie żyje drugi wuj Adam jest dla Jakuba bez znaczenia, skoro go zupełnie w życiu nie zauważył i niczym nie utrwalił w swojej pamięci.

Wuj Staś miał już więc niewiele życia przed sobą wówczas, gdy widział go Jakub po raz ostatni. Umarł zresztą mogąc nie umrzeć, z powodu choroby, do której wstydził się przyznać, nie wiedząc, że można ją leczyć. Był wesoły, był dobry, pracowity i zgrabny, chwalili go bardzo gdy już nie żył. Wszystko umiał zrobić, wszystko mu się udawało. Skręcony z bólu uśmiechał się jeszcze, gdy ktoś go odwiedził. Pił ziółka, które dawała mu Ludwika, dobre na nerki. Umierał, pewien, że ponosi karę za grzech — jak się zdaje jedyny, popełniony na samym brzegu życia. Po raz pierwszy usłyszał wówczas Jakub opowiadania babki Ludwiki, że Staś umierając widział anioły. Matka, słuchając tego, zanosiła się od płaczu. Małgorzata kochała bardzo tego najmłodszego brata.

Na dole ogrodu przepływała rzeka, wąska i cienista, jak aleja. Miejsce głębsze do kąpieli było jedno — przy stromym brzegu, okrytym twardą trawą, pod wysokimi olszynami. Po drugiej stronie zaczynały się łąki. Jednego lata zastali za rzeką nowy dom — czerwoną i wysoką kamieniczkę miejską, samotną pośród zielonych, równych błoni. Nad brzeg zeszła duża dziewczyna z bosymi nogami.

— Kto tam mieszka? — spytał Jakub przez wodę.

Dziewczyna nie odpowiadała, patrząc na niego uważnie, jak głucha. Potem okręciła się i powoli odeszła do tego nowego domu. Jakub widywał ją i później, nieraz przyglądał jej się z za parkanu przez sęki w deskach, gdy szła boczną drogą za ogrodem do szosy. Była obdarta, brudna, w płóciennych pantoflach na bosych nogach, ale głowę miała pięknie uczesaną, a w uszach jej wisiały kolczyki.

Raz była zła i krzyczała, ale Jakub nie mógł zobaczyć na kogo. Było po deszczu. Fidel stał pod starym drzewkiem bzu i z podniesioną do góry głową szczekał na kota, ukrytego w gałęziach. Po kota przyszła ciotka Marta.

— Na co ty tam patrzysz, Kubusiu? — spytała.

Jakub odszedł od parkanu, zawstydzony. Ciotka wyjrzała na drogę i prędko się cofnęła.

— Nie masz tu co wypatrywać — szorstko powiedziała do Jakuba i kazała mu zaraz iść do domu.

— A bo co? — opierał się Jakub. — Dlaczego?

— Dlatego! — pogroziła mu krótko ciotka Marta. Ale później dodała: — To zła dziewczyna i tobie nic do niej, pamiętaj, to córka Fydy.

Ani Marta ani Ludwika nie nazywały jej po imieniu, może go nawet nie znały. Mówiły zawsze tylko „córka Fydy" — i to już znaczyło wiele.

Później urwały się te wyjazdy „do babci". Nawet przez lato Jakub pozostawał w domu.

Mieszkali w jednym pokoju z kuchnią, na przedmiejskiej ulicy, na czwartym piętrze. Szare ściany malowane były w biały deseń kwiatowy. Okna wychodziły na oparkanione place z budami, krytymi papą. Były to składy desek i składy węgla. Za torem kolejowym miasto wznosiło się szeregiem czerwonych, szczytowych ścian bez okien.

Ojciec zaczynał się dopiero teraz układać ze wspomnień. Jego powroty wieczorem albo nocą. Stukanie naczyń, przenikające do snów Jakuba i interpretowane tam jako dzwonki sani albo szczęk broni wojskowej, głos matki, długie szepty.

Z ojcem było ciężko żyć i matce i jemu. Jakub przekonał się, że ojciec ,gdyby chciał, mógłby być inny, tylko nie chce. Był zadowolony z tego,że jest taki właśnie i to było najgorsze. Dlatego nie chciał się zmienić ani do niczego zmusić. Temu, że było z nimi tak źle, zawsze tylko ludzie byli winni, nie on. Mówił o wszystkich ze zdziwieniem, z pogardą, z każdego się wyśmiewał. Coś o kimś powiedział i wysoko, powoli, aż do uszu wzruszał ramionami, że też to człowiek może być taki. O mężu Pauliny, o zmarłym mężu Marty, o dziadku — mówiło się w domu pobłażliwie, z kpinami. A żeby tylko popatrzył na siebie, żeby się zastanowił, jaki jest sam — to nie.

Gdy mu wuj Józef coś doradzał, znajdował jakie zajęcie, ojciec odpowiadał pobłażliwie: — o, przepraszam, owszem — tylko nie ja.

— Owszem — bardzo możliwe. — Każdy inny — może być, tylko nie ja. To nie dla mnie.

Wszystko naokoło szło na przepadłe, ale ojciec nic nie chciał z siebie ustąpić. Życie nie mogło mu dać rady, nie mogło go o niczym przekonać.

I mimo wszystko, co się wtedy w domu działo, to jednak były jeszcze najlepsze czasy. Matka tak samo, jak ojciec, wierzyła że wszystkiemu winni są ludzie, że winny jest świat. Gdy ciotka Paulina znów przyjechała, matka odpierała jej rady wzgardliwie, nie chciała od niej pomocy. Była dumna z tego, że ojciec nie jest taki, jak inni. Chorowała, pracowała i znów kładła się do łóżka, ale wierzyła w tego swojego męża. Co powiedział, co zrobił, był słuszne.

Wszystko raczej matka mogła przypuścić niż to, że ojciec nie ma racji. Nie dostał wykształcenia, to prawda, nie skończył szkół. Ale bo szkoły były naprawdę do niczego, bo nauczyciele byli głupcy, bo tylko niedołęga mógł iść w takie jarzmo. Każdy, nie on. Co chce wiedzieć, ma książki, sam sobie może przeczytać. Nauka nie była mu potrzebna.

I dlatego mało z kim się znali. Z rodziną żyli daleko, nie mieli przyjaciół. Ojciec z każdym zrywał — bo każdy po pewnym czasie zaczynał mieć wątpliwości, zaczynał się dziwić. Ludzie zakłócali tylko ten stan rzeczy, w którym jedynie mógł żyć.

Pracował niekiedy, owszem — ale jak z łaski. W każdej chwili mogło to pęknąć. Wciąż gdzieś tracił miejsce, wciąż tłomaczył z dumą, że przekonali się, że z nim tak nie można, jak z innymi, że przynajmniej teraz już wiedzą, z kim mieli do czynienia. I matka cieszyła się razem z nim, jak z odniesionego zwycięstwa.

Tak trwało — aż do czasu pewnej sprawy, której natura długo pozostawała tajemnicza. Tak trwało do chwili, w której i ta ostatnia, Michalina, przestała wierzyć. Gdy i jej „otworzyły się oczy".

Ten zwrot był pamiętny dla Jakuba. Od tego czasu dom stał się straszny. Dom ludzi, którzy utracili wiarę w jedną rzecz niezawodną.

Wtedy to zaczął się ten gest rozchylania marynarki i pokazywania miejsca, gdzie jak zwykle miał portfel z tymi pieniędzmi.

— Kiedy wyjeżdżałem, sprawdzałem — były — mówił ojciec, zawsze na nowo tym zdarzeniem zdziwiony. I wzruszał ramionami, podnosił je wysoko wraz z brwiami do góry, aby wyrazić, że ze zdziwienia się wręcz nie posiada, że cały rozum ludzki nic tu nie może.

Zginęły bowiem — czy zostały mu skradzione, nic nie wiadomo! Poprostu ich nie było, gdy po nie sięgnął, by je oddać. Nie było ich, chociaż je tam włożył, choć był pewny, że są.

— W głowę zachodzę, co to być mogło — powtarzał. — Portfel zostawili, a pieniędzy nie ma. Rozum wtedy straciłem, czy co? Uśpili mnie chyba czym w tym wagonie, sam nie wiem. Ale nie spałem przecież. Znacznie później dopiero... ale jednak przed śmiercią matki... rzecz się wyjaśniła. Łagodzące okoliczności były wzięte pod uwagę.

O więzieniu mówiło się w domu jako o niepojętej pomyłce. Ludzie się na niego tak zawzięli, czy co, żeby go zgubić...

Po śmierci Małgorzaty Jakuba zabrała do siebie Paulina i ona to posyłała go do szkół. Jednak jeszcze przed ukończeniem nauki Jakub zamieszkał osobno.*)

ZOFIA NAŁKOWSKA

*) Rozdział z niedrukowanej powieści „Niecierpliwi".

Na tropach Beniowskiego

MADAGASKAR

Nossin-Dambo (po malgasku), Diessira-el-Komr (po arabsku), Grande Ile, Madagaskar (nazwa, nadana przez eksploratorów portugalskich).

Jeżeli chodzi o tradycje polskie, nazwy te kojarzyły się dotychczas w naszym umyśle z dwiema postaciami — globetrottera pochodzenia węgiersko-polskiego, Maurycego Beniowskiego, i szlachetnej ofiary samozaparcia i wielkiej miłości bliźniego, misjonarza polskiego, ks. Jana Beyzyma, który nader czynny swój udział w walce z trądem, szerzącym się wśród tubylców na Madagaskarze, przypłacił życiem, zaraziwszy się tą straszną chorobą.

Aż oto od kilku lat Madagaskar, jako ewentualny (a dla niektórych — niewątpliwy) teren przyszłej emigracji osadniczej z Polski, budzi u nas powszechne niemal zainteresowanie, powtarzając się wciąż na szpaltach dzienników i pism polskich.

Jedni wymachują nim, niby maczugą, nad głowami żydostwa polskiego, chcąc tą rozległą, półtora raza większą od Polski kolonię francuską przekształcić w coś w rodzaju Nowej Kaledonii, czy nawet Czarciej Wyspy pod Kajenną, słowem kolonii karnej, przeznaczonej na teren jakowychś robót przymusowych dla „wszystkich Żydów z Polski", wykonywanych tytułem ekspiacji za grzechy, popełnione przez poszczególnych przedstawicieli tej narodowości. Ustalając solidarną odpowiedzialność całego żydostwa polskiego za wszystkie popełnione, a nawet nie popełnione przez Żydów grzechy, ów kierunek prasy i umysłowości w Polsce traktuje zagadnienie Madagaskaru w sposób, powiedzielibyśmy, nieco uproszczony. W jego ujęciu, wielka ta wyspa już jest przeznaczona na miejsce osiedlenia Żydów z Polski, niezależnie od tego, czy przesiedlenie olbrzymiej masy 3½ miliona ludzi jest w praktyce możliwe i wykonalne, czy tereny madagaskarskie do tego się nadają i czy, poza zasadniczą zgodą, rząd francuski plan taki aprobuje. Traktując sprawę emigracji żydowskiej na Madagaskar jako już bezapelacyjnie przesądzoną, publicyści i dziennikarze tego kierunku zastanawiają się tylko od czasu do czasu nad tym, czy Żydzi „chcą" lub też „nie chcą" wywędrować na tę odległą wyspę, piętnując ich w świętym oburzeniu za ich bierny opór. Jeżeli nawet nie chcą, to im to zresztą nic nie pomoże, gdyż załaduje się ową 3½-milionową rzeszę na statki i przymusowo wywiezie, gdzie pieprz rośnie. Środki? Dostarczą ich skonfiskowane majątki żydowskie. Słowem, sprawa jest załatwiona w sposób nieskomplikowany i nader korzystny dla Polski.

Odmiennie sprawę Madagaskaru traktują sfery rządowe (stykające się ze światem) i część prasy prorządowej. Korzystając z przychylnego w zasadzie stosunku rządu francuskiego, czynniki odpowiedzialne za polską politykę zagraniczną usiłują przede wszystkim rozejrzeć się w istocie samego zagadnienia i uzyskać możliwie obiektywny materiał, który by mógł posłużyć za podstawę przedsiębranych w tej sprawie kroków. Z aprobaty francuskiego Ministerstwa Kolonij nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych wydelegowało w zeszłym roku na Madagaskar trzyosobową komisję studiów z majorem M. Lepeckim na czele. Wynikiem podróży tej komisji jest m. in. relacja książkowa, ogłoszona niedawno przez jej przewodniczącego.*)

Trzeba jednak przyznać, że cała impreza madagaskarska nie ma u nas jakoś szczęścia, a nade wszystko nie ma tego, co Francuzi nazywają „dobrą prasą". Niepowodzi się zwłaszcza owej komisji studiów.

Bo oto, wkrótce po jej powrocie do kraju, ledwie przewodniczący ekspedycji zdążył podać do wia-

*) *Mjr. Mieczysław B. Lepecki. Madagaskar. Kraj, ludzie, kolonizacja.* T-wo Wydawnicze „Rój". Warszawa 1938. Str. 309

domości publicznej łączną opinię komisji o przydatności niektórych terenów egzotycznej wyspy do celów emigracji osadniczej z Polski, jeden z członków wyprawy oświadczył w wywiadzie prasowym, iż po dokładnym zbadaniu wszystkich możliwości imigracyjnych Madagaskaru okazało się, że są one znikome i że wszelkie plany masowego wychodźtwa z Polski na tę daleką wyspę są utopią. „Emigranci nie wytrzymają tropikalnego klimatu — powiedział p. Alter. — Emigrant na Madagaskarze karłowacieje, degeneruje się. Jeżeli chodzi o Żydów, to ci specjalnie nie będą mogli zaaklimatyzować się na Madagaskarze, tym bardziej, że nie są przywiązani do roli"... Temu swojemu poglądowi p. Alter dał nadto wyraz w artykule, ogłoszonym w „Epoce".

Jak gdyby dla potwierdzenia i wzmocnienia powyższego stanowiska, „Gazeta Polska", lansująca naogół pogląd, reprezentowany przez M. Lepeckiego, zamieściła w dn. 7 marca r. b., nieomal w przeddzień ukazania się jego książki o Madagaskarze, specjalnie dla „Gazety" napisany przez prof. Charles'a Acharda artykuł o „Zagadnieniach sanitarnych Madagaskaru". Mogło by się zdawać, że prof. Achard pragnie nieświadomie obalić główną tezę M. Lepeckiego (który utrzymuje, że do osadnictwa europejskiego na Madagaskarze nadaje się centralny płaskowyż), w artykule swoim pisze bowiem dosłownie:

„W przeciwieństwie do tego, co obserwujemy w innych okolicach tropikalnych, do najgorszych pod względem zdrowotnym terenów nie należą nizinne wybrzeża, lecz raczej płaskowzgórza, na których szczególnie szerzy się zimnica (malaria)".

Walka z malarią, wywodzi dalej p. Achard, wymaga wielkich środków i dlatego „chinizacja" zapobiegawcza ogranicza się obecnie do wojska, kadr urzędniczych i dzieci, uczęszczających do szkół.

Nadto na wyspie panuje druga pod względem częstości choroba — kiła czyli syfilis. Ale niedość na tym. Na imigranta z Europy czyha jeszcze jedna plaga orientalna:

„Dżuma należy do największych klęsk Madagaskaru — czytamy u p. Acharda. — Epidemie tej choroby szerzą się głównie *w okolicach płaskowzgórza* (podkreślenie nasze)".

Nie wyczerpuje to jednak litanii chorób, trapiących nieszczęsny Madagaskar. Panuje tam jeszcze straszliwy *trąd*. „Pośród ostrych chorób szczególnie częstych na Madagaskarze, należy wymienić zapalenie płuc i inne zakażenia, wywołane przez dwoinki zapalenia płuc", wylicza dalej niestrudzenie autor francuski, stwierdzając wreszcie, że „niezmiernie powszechne są również pasorzyty jelitowe".

Taki to zachęcający obraz warunków sanitarnych zachwalanego przez M. Lepeckiego dla wychodźtwa z Polski płaskowyżu madagarskaskiego roztacza przed naszymi oczami francuski rzeczoznawca lekarski w artykule, napisanym dla półurzędówki polskiej.

Jeżeli chodzi o walkę z tym tak niepomyślnym stanem zdrowotności na wyspie, to — jak podaje M. Lepecki w swej książce — na ogólną liczbę 3.796.000 mieszkańców praktykowało tam w r. 1930 61 lekarzy-Europejczyków oraz 300 lekarzy-tubylców, którzy ukończyli uproszczoną Ecole de Médecine w stolicy Madagaskaru, Tananarivie. A więc łącznie z niedouczonymi medykami-Malgarzami wypadał tam jeden lekarz na 10.515 mieszkańców. Biorąc pod uwagę obszar wyspy, równający się 592.350 km², jeden lekarz przypada tam przeciętnie na 1.641 km²!

Ale artykuł prof. Acharda nie był ostatnim ciosem, zadanym niefortunnej imprezie madagaskarskiej.

Oto dn. 19 lutego r. b. pan Marcel Olivier, b. gubernator generalny Madagaskaru w latach 1924 — 1930, zamieścił w paryskiej „Illustration" artykuł, w którym dowodzi, że Grande Ile nie nadaje się do kolonizacji europejskiej ze względu na to, że wysokie położenie jej płaskowyżu uniemożliwia pracę fizyczną ludziom ze strefy klimatu umiarkowanego. Przychodźcy z Europy mogą sprawować jedynie funkcje nadzorcze lub urzędnicze, gdyż nie zdołają przez dłuższy czas wykonywać wysiłków fizycznych.

Wywody p. Oliviera usiłuje zbić mjr. Lepecki („Gazeta Polska" z dn. 2.III. r. b.), sugerując mu „niechęć do osiedlenia się obcego elementu na Madagaskarze". Nasz autor nie przytacza jednak żadnych argumentów w odpowiedzi na rzeczowe ujęcie sprawy przez b. gubernatora kolonii, dostatecznie chyba kompetentnego jeżeli chodzi o warunki życia i pracy na Madagaskarze.

W końcu lutego r. b. odbyła się w Krakowie konferencja prasowa, poświęcona zagadnieniom emigracji żydowskiej z Polski. Dłuższy referat wygrosił prof. uniw. hebrajskiego w Jerozolimie, głośny socjolog i antropolog żydowski, dr Artur Ruppin, który możliwości kolonizacji żydowskiej na Madagaskarze ocenił jak najbardziej sceptycznie, nie przecząc bynajmniej, że obok Palestyny nader pożądane są dla Żydów inne tereny emigracyjne.

Słowem, pod złą jak gdyby gwiazdą urodziła się impreza madagaskarska.

Rozejrzyjmy się jednak jeszcze w materiale, dostarczonym nam w książce M. Lepeckiego. Załącza on wyjątki z memoriału rzeczoznawcy francuskiego, inż. C. Champenois. Rzeczoznawca ten uważa, że do Ankaiziny (część Madagaskaru, która jego i mjr. Lepeckiego zdaniem najbardziej nadaje się do celów kolonizacyjnych) należy kierować „drobnych robotników rolnych, drobnych rolników". „Nie przyciągajmy tu drobnego mieszczaństwa — pisze p. Champenois — pełnego złudzeń, w rodzaju fryzjerów lub sklepikarzy, którzy nigdy w swym życiu nie widzieli buraka". Rzeczoznawca francuski zastrzega się tedy jak najbardziej stanowczo przeciwko napływowi na Madagaskar *żywiołów miejskich*. Jak to pogodzić z tezą o emigracji żydowskiej z Polski do tej kolonii?

Sam M. Lepecki stwierdza zresztą, że ta mlekiem i miodem płynąca obiecana ziemia Ankaiziny mogłaby „pomieścić około 5 do 7 tysięcy rodzin rolniczych czyli od 25 do 35 tysięcy osób" zaledwie. Dodajmy jeszcze, że owa Ankaizina zupełnie pozbawiona jest dróg i aby dotrzeć do niej, trzeba z najbliższego większego miasta wędrować przez 3 dni filanzaną (rodzaj lektyki). Szlak, zdatny do komunikacji samochodowej, będzie gotów dopiero w r. 1941-ym. „Bez wykończenia tej drogi mowy nie ma w ogóle o jakichkolwiek próbach kolonizacji europejskiej" pisze obiektywnie mjr. Lepecki. Według danych książki, na terenie Ankaiziny mieszkało w zeszłym roku wszystkiego 12 Europejczyków (10 Francuzów i 2 Greków)!

Jeszcze kilka uwag ogólniejszej natury.

W styczniu 1937 r. p. Marius Moutet, francuski minister kolonii, udzielił prasie wywiadu o polityce

kolonialnej swego rządu. Kładąc nacisk na nowy kierunek, któremu w polityce kolonialnej hołduje rząd zjednoczonej lewicy, p. Moutet oświadczył, że centralnym punktem tej polityki w nowoczesnym ujęciu jest *człowiek*.

Otóż geniusz kolonizacyjny francuski, który sprawia, że Murzyn czystej krwi z Martyniki może przewodniczyć w charakterze wicemarszałka na posiedzeniu paryskiej Izby Deputowanych lub wchodzić w skład centralnego rządu francuskiego jako podsekretarz stanu (proszę sobie wyobrazić coś podobnego w Berlinie, Rzymie lub Waszyngtonie!), i na Madagaskarze zdołał poszczycić się nielada wynikami. Opowiada nam o tym M. Lepecki. Wyspa ta, która dopiero od r. 1896 stała się formalnie kolonią francuską, jest obecnie w najlepszym znaczeniu tego słowa całkowicie spacyfikowana. Francuzi potrafili wykorzenić nienawiści plemienne, które przed 1896 r. zakłócały życie ludności tubylczej, składającej się z licznych szczepów odmiennego pochodzenia (zachodniego i wschodniego). Harmonijnego współżycia tych plemion nic teraz nie mąci. Godna uwagi jest przy tym okoliczność, że cała siła zbrojna wyspy składa się z 1075 Francuzów, 3845 Malgaszów i 1750 Senegalczyków, czyli łącznie z 6.670 żołnierzy na 3.760.000 mieszkańców. Język tubylców jest zrównany w prawach z francuskim. Wszystkie enuncjacje rządowe drukuje się w jęz. francuskim i malgaskim. W języku tubylców wychodzą 24 pisma periodyczne. Niższe stanowiska w administracji państwowej aż do t. zw. *gouverneurs indigènes* zajmują Malgasze. Francuzów na wyspie jest wszystkiego (1937 r.) 20.802, cudzoziemców zaś 14.142 (w tym Hindusów 8.224, Chińczyków 2.785 i Arabów 790). Na ludność francuską i w ogóle białą składają się urzędnicy, wojskowi, kupcy i przedsiębiorcy. Po 40 latach rządów francuskich cieniutka warstwa Francuzów stanowi nieco więcej niż 0.5% ludności.

Wszystko to łącznie zdaje się wymownie przemawiać na rzecz opinii, że Madagaskar nie może wchodzić w rachubę jako teren osadnictwa dla *masowej* emigracji z Polski. Jeżeli wychodźtwu tego typu nie zdoła się zapewnić wyraźnych korzyści materialnych lub ich perspektywy w niezbyt odległej przyszłości, to w znacznej mierze korzyści te mogą być zastąpione przez momenty natury uczuciowej. Ale te właśnie momenty odpadają zupełnie, gdy mowa o emigracji na daleki, a tak mało ponętny Madagaskar.

J. RADUSKI

W teatrze

„CYRANO DE BERGERAC"

Manja wznowień, dewastująca nasze teatry doprowadziła do wznowienia „Cyrana de Bergerac" Rostanda. Im bardziej wyświechtana sztuka, tym chętniej się ją przywraca na scenę, gdzie zresztą przeważnie robi klapę, nie usprawiedliwiając nawet kasowym sukcesem braku inwencji repertuarowej. Cyrano nabrał coprawda obecnie pewnej aktualności z tego względu, że dziś znowu typ uzbrojonego awanturnika, ordynansa ufnego tylko w siłę swej pięści, cieszy się, niestety, aż nazbyt wielkim powodzeniem. Cyrano, który rozpędza aktorów w teatrze, zaczepia brutalnie każdego, nie wahając się położyć trupem tych którzy rzekomo go znieważają, aż nadto ma w analogii we współczesnej rzeczywistości. Ubrać go w brunatną lub czarną koszulę i będzie pasował do dzisiejszego świata jak ulał. Nic też dziwnego, że ta figura, której jadowitości nie podejrzewano w spokojniejszych czasach, dziś nie tylko wydaje się antypatyczna ,ale i niepokojąca. Widzimy jak twarde życie mają te prymitywne i butne typy, jak odradzają się w różnych epokach. Wszystko w tym Cyranie się zgadza z pojęciem „wodza" czy też przywódcy dzisiejszych band zabijaków: i jego żądza krwi i grafomania i jego zagadkowość seksualna. Tego rodzaju kombinacja cech dość często się powtarza, jeżeli rozejrzeć się tu i owdzie. Pod tym względem był Rostand jasno widzący i sformował swego rycerza trafnie pod względem psychologicznym. Tylko że Cyrana należałoby może grać ironicznie, z persyflażem, a nie heroicznie i wzniośle. Wtedy sztuka zyskała by może jakieś nowe walory. Gdyby tak kto spróbował, mogłyby wyniknąć dość zabawne efekty. Cyrano - buffon, Cyrano cham brutalny, pokrywający powierzchowną dwornością swoje wyczyny. Cyrano - onanista, lubujący się widokiem cudzych rozkoszy, Cyrano chorobliwy gaduła, frazesowicz i głuptak, tak ta figura przedstawia się nam dzisiaj, tak, naprzekór tendencjom autora, mogłaby być grana. To też nie przejmujemy się zbytnio, gdy w ostatniej odsłonie Cyrano narzeka, że zawsze w życiu musiał grać drugie skrzypce. Myślimy sobie: „Szczęśliwa epoka, w której taki Cyrano nie miał szans dostania się na pierwsze miejsce". Grę, inscenizację, reżyserię cechowała owa martwota właściwa Teatrowi Narodowemu. Zużyty już w tej roli Leszczyński, ładna p. Kajzerówna i inni grali poprawnie, ale bez ognia, czemu się zresztą trudno dziwić.

„ASMODEUSZ" MAURIA'CA

W teatrze Małym zobaczyliśmy zajmującą sztukę znakomitego Mauriac'a. Jest to zresztą debiut sceniczny tego pisarza, przyjęty we Francji raczej oziębłe, co się wydaje niezupełnie sprawiedliwe. Nie jest to arcydzieło, zapewne, ale niewątpliwie sztuka pisana przez prawdziwego pisarza, interesująca i niebanalna. Widzimy wiejski dwór francuski, powabną czterdziestoletnią dziedziczkę, wdowę, matkę kilkorga dzieci, która siedzi na tym pustkowiu, zmuszona przedwczesną śmiercią męża do zarządzania majątkiem. Zrezygnowała ze swej kobiecości, jest tylko matką. W pałacu jest jeszcze dwoje ludzi, nauczycielka i guwerner, do tej samotni przyjeżdża tylko na miejsce syna, na mocy wymiany intelektualnej (co praktykuje się i u nas) młody Anglik. W tym zespole ludzi dzieją się różne dramaty. Guwerner jest postacią centralną. Jest to demon we własnej osobie, siła niszczycielska i korruptywna, zachłanna, wywierająca magiczne działanie na ludzi. Nigdzie demoniczne cechy charakteru nie uzyskują tak sprzyjających warunków do wzrostu i rozrostu jak na wsi, gdzie brak wrażeń i podniet zzewnątrz, mała ilość

szans życiowych, możność skupienia się na jednej myśli hodują długotrwałe, konsekwentne i nieprzebierające w środkach namiętności. Jakaś stara służąca, dozorca, rządca, albo, jak w tej sztuce, guwerner żyjący w bezpośrednim kontakcie z ludźmi uprzywilejowanymi dzięki urodzeniu lub majątkowi, mogący obserwować ich latami, i latami krążyć koło nich jak sęp koło zdobyczy, ma duże szanse aby uzyskać władzę o wiele przerastającą jego skromne stanowisko socjalne. Guwerner pan Couture, krąży koło pani domu i nie wiemy dokładnie co zamierza: zaślubić ją, zagarnąć jej majątek, może nawet zamordować? W każdym razie w ten czy inny sposób owładnąć tą kobietą. Że po drodze uwodzi nauczycielkę, że obleśnie krąży koło siedemnastoletniej dziewczynki to po prostu dlatego żeby nigdy nie dać wyjść z wprawy ani osłabnąć swoim siłom diabelskim. Czyha na swoją chwilę, popełnia błędy, odnosi zwycięstwa, aż wreszcie opanowuje sytuację. Dzieje się to wówczas kiedy pani domu, zakochawszy się niepotrzebnie i lekkomyślnie w młodym Angliku widzi, że on kocha jej córkę, że musi ustąpić miejsca swemu dziecku. Złamana, rozbita wpadnie teraz w szpony skromnie i groźnie wyglądającego pana Couture, guwernera.

Rola tego domowego demona jest jak by stworzona dla Jaracza. Tylko on mógł wydobyć grozę tej postaci, tchnąć w nią to, co chciał w niej widzieć autor. Pan Bonecki grał poprawnie, nawet dobrze, ale nie ma w sobie demonizmu, nie mógł go więc też z roli wydobyć, a bez tego zaś sztuka traci całą ostrość. Bardzo zdolna i miła jest p. Kurylukówna, grająca rolę zakochanej siedemnastolatki. W jej roli dochodzi zresztą do głosu owa nieznośna strona Mauriac'a jako pisarza, który swój brutalny, drapieżny talent spowija kokieteryjnie w mgiełki katolicyzmu. To religianctwo doczepione ni w pięć ni w dziewięć do jego ponurych i jaskrawych wizyj świata, mdłe, łatwe, dewocyjne, słodkie i zalotne jest jednym ze źródeł sukcesu Mauriac'a, stanowi jaskrawy kontrast zarówno z jego temperamentem, jak z powagą pisarską. Ale to jest postawa zarówno przyjemna jak dogodna: ludzie o wyrobionym smaku literackim będą cenili Mauriac'a jako dobrego pisarza, ci zaś którzy by go potępili jako pornografa i brutala wywlekającego brudy życia, dadzą się łatwo ukoić słodkim konformistycznym medytacjom, utrzymanym w duchu „Rycerza Niepokalanej". Słowem i „cnoty ustrzegła, i pieniądze przyniosła" jak powiadają Rosjanie.

„KAPRYSY MARIANNY" MUSSETA

Pokaz szkoły reżyserskiej przy PIST'cie (Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej) dał nam okazję ujrzenia uroczych „Kaprysów Marianny" Musseta w znakomitym przekładzie Boya, reżyserii p. Jabłonkówny. Ta pełna poezji i wszystkich wdzięków sztuka (jeżeli ten kaprys poety można nazwać sztuką) powinna corychlej być pokazana w teatrze dla zwykłej publiczności. Widzieliśmy jaki sukces odniosła niedawno komedia Musset'a „Nie igra się z miłością", jak się ogólnie podobała. Czemu p. Malicka, która w tej przepięknej sztuce znalazła najlepszą swoją rolę nie pomyśli teraz o „Mariannie"? mając własny teatr, zamiast grać ramotę J. A. Hertza, o której nawet nie warto na tym miejscu wspominać? W pokazie Pistu pełną wdzięku Marjanną była p. Romanówna, a wybornym Oktawem młody amant odznaczający się wybitnym talentem, p. Śliwiński.

IRENA KRZYWICKA

Czterdziestolecie pracy prof. St. Kalinowskiego

„Zdobycze kultury są nieśmiertelne"

W pierwszych dniach b. m. polski świat naukowy obchodził uroczyście czterdziestolecie pracy naukowej profesora Stanisława Kalinowskiego. Znakomity fizyk, zasłużony badacz w dziedzinie magnetyzmu ziemskiego, profesor Wolnej Wszechnicy, założyciel i kierownik Obserwatorium magnetycznego w Świdrze, nie zamykał się wyłącznie w zacisznych ścianach pracowni, nie przemawiał tylko z katedry profesorskiej. Równie niespożyte są też zasługi Stanisława Kalinowskiego na polu popularyzacji wiedzy i walki o demokratyzację oświaty i szkolnictwa. Uczony i społecznik w jednej osobie, zdobył sobie prof. Kalinowski wybitne, trwałe miejsce w dziejach kultury polskiej, w dziejach walki o uprzystępnienie tej kultury najszerszym rzeszom ludności. Jako organizator Wydziału Odczytowego przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, Instytutu Fizycznego, oraz Uniwersytetu dla Wszystkich i jako jeden z czołowych działaczy Towarzystwa Oświaty Demokratycznej „Nowe Tory", profesor Stanisław Kalinowski dobrze zasłużył się nauce i ojczyźnie.

Głęboka wiara w niezniszczalność kulturalnego dorobku ludzkości, nagromadzonego pracą i walką całych pokoleń, niezachwiana pewność ostatecznego triumfu najlepszych, twórczych pierwiastków ducha ludzkiego, nieugięta wierność ideałom wolności — cechuje wielkiego uczonego. Tej szlachetnej postawie ideowej dał Stanisław Kalinowski wyraz w wydanym przez „Nowe Tory" zbiorze p. n. „W obronie szkoły demokratycznej". Oto słowa uczonego - demokraty:

„...jestem najzupełniej spokojny o realizację ideałów demokracji, mimo iż dzień dzisiejszy realizacji tej nie tylko nie sprzyja, ale wręcz ją uniemożliwia. Pewność swoją opieram nie na uporze osobistym, ani na akcie wiary w zwycięstwo dobrego — jakkolwiek wiarę tę posiadam — ale na ocenie tego, co się dzieje teraz i to nie tylko u nas, pod kątem widzenia zdarzeń dziejowych. W dziejach kultury zdarzało się wielokrotnie, iż postęp jej bywał przerywany, tłumiony, lub nawet pozornie ulegała ona zagładzie. Jednakże okazywało się potem, że zdobycze kultury są nieśmiertelne, odżywała ona i rozkwitała dalej".

I nie jest to tylko platoniczna, do niczego nie obowiązująca deklaracja. Bo profesor Stanisław Kalinowski jest członkiem Stronnictwa Ludowego, uosabiając w ten sposób przymierze nauki z pługiem i wypróbowane w ciągu stulecia braterstwo polskiej elity umysłowej z demokracją polską.

TLEJĄCE ZARZEWIE

Czasopismo angielskie „New Times and Ethiopia News" donosi z Abisynii: „...nie ustaje przecinanie dróg komunikacyjnych włoskich. Partyzanci gromadzą się na wzgórzach panujących nad drogami i zsuwają na przejeżdżające ciężarowce i samochody włoskie ciężkie bloki skalne. Nieraz przecinają drogi, przekopując głębokie kanały, zasłonięte liśćmi i gałęziami. Samochody włoskie wpadają w te zasadzki, załoga ponosi śmierć w katastrofie, a pozostali przy życiu są wystrzeliwani przez ukrytych dookoła Abisyńczyków, którzy zabierają broń zabitych i wracają do dżungli".

Według ostatnich wiadomości „Manchester Guardian" permanentne walki podjazdowe w Abisynii znów przerodziły się, w prowincji szczepu Golla, w jawne powstanie. Jest rzeczą znamienną — i pouczającą — że szczep Golla, którego zdrada przechyliła zwycięstwo na stronę Włochów, podniósł obecnie sztandar buntu. Marzenia Il Duce o sformowaniu wielkiej armi kolonialnej — rozwiewają się.

Włosi mówią o tym, że opór abisyńczyków zapowiada się jako długotrwały, co jest prawdopodobnie, jeśli zważymy, iż pacyfikacja Marokka francuskiego trwała lat dwadzieścia, a Mandżurii jest obliczona na lat dziesięć. Opinie fachowców angielskich potwierdzają pesymistyczną ocenę Włochów. Według gen. R. Robinsona — w walce z plemionami górskimi nie wiele pomagają samoloty i broń zmechanizowana. Burzenie prymitywnych domków tubylców wymaga olbrzymiej ilości bomb, wiele czasu, a energia zużyta nie pozostaje w żadnym stosunku do osiągniętych rezultatów. Z drugiej strony — zdaniem gen. Robinsona — doświadczeni patrioci uzbrojeni w dobre karabiny mogą na długie miesiące zatrzymać pochód wojsk regularnych, jak o tym świadczą walki oddziałów francuskich w Atlasie w r. 1935.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego w Katowicach:

Paweł Hulka-Laskowski: Śląsk za Olzą. 274 ilustracje i 2 mapy. Katowice 1938. Skł. Główny: „Nasza Księgarnia".

Norbert Bończyk: Góra Chełmska. Wydanie II. Opracował Wincenty Ogrodziński. Katowice 1938. Skł. Główny: „Nasza Księgarnia".

Antoni Gronowicz: Antysemityzm rujnuje moją Ojczyznę. Lwów 1938. Nakładem Dobrego Polaka.

Wydawnictwa J. Przeworskiego. Warszawa 1938:

Władysław Kowalski: Rodzina Mianowskich. Powieść. Część I.

Grey Owl — Szara Sowa: Sejdzio i jej bobry.

Ewa Curie: Maria Curie. Przekład *Hanny Szyllerowej.*

Erik-Ernst Schwabach: Dzieje pewnej nocy. Przekład *Alfreda Liefelda.*

W Y S T A W A

p. t.

„TWÓRCZOŚĆ LITERACKA ANDRZEJA STRUGA"

po przerwie świątecznej zostanie otwarta ponownie dn. 24 kwietnia i trwać będzie do dnia 30-go b. m.

Wystawa ta, urządzona staraniem Poradni Bibliotecznej przy Związku Bibliotekarzy, mieści się w nowym pawilonie Biblioteki Publicznej w Warszawie, ulica Koszykowa Nr 26.

Wystawę zwiedzać będzie można codziennie od godz. 10-ej do 14-ej i od godz. 16-ej do 19-ej.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu K. L., Gorzkowice: Rzecz godna druku, ale nadaje się do pisma codziennego.

Pani M. K., Kraków: Za miłe słowa dziękujemy. Numery bezzwłocznie wysłaliśmy.

Pani M. T., Stryj: Od początku roku „Epoka" wychodzi trzy razy miesięcznie. Stąd różnica ceny abonamentu. Za list bardzo dziękujemy.

Panu Bol. B., Łowicz: W tych warunkach jesteśmy, niestety, bezradni. Wątpimy, czy jest fundacja, rozporządzająca podobnymi stypendiami.

Pani Z. R., Tarnów: „Głupi znajdzie zawsze głupszego, który go podziwia". My tutaj rywalizować nie zamierzamy.

Panu W. Z., Lublin: Za wiadomość dziękujemy. Ale czy można wobec wielkich zagadnień doby bieżącej zajmować się każdą bzdurą i odpierać każdą insynuację nie tylko różnych podjadków, ale i ludzi publicznych z bielmem na oku, czy zajączkiem w mózgu?

Pani A. D., Warszawa: List przekazaliśmy autorce artykułu. Rzecz nadaje się do pisma codziennego.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

R E D A K T O R przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się

P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4812 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.